Eva Kurjaková

LEGENDY BABEJ HORY

Legendy spod Babiej Góry

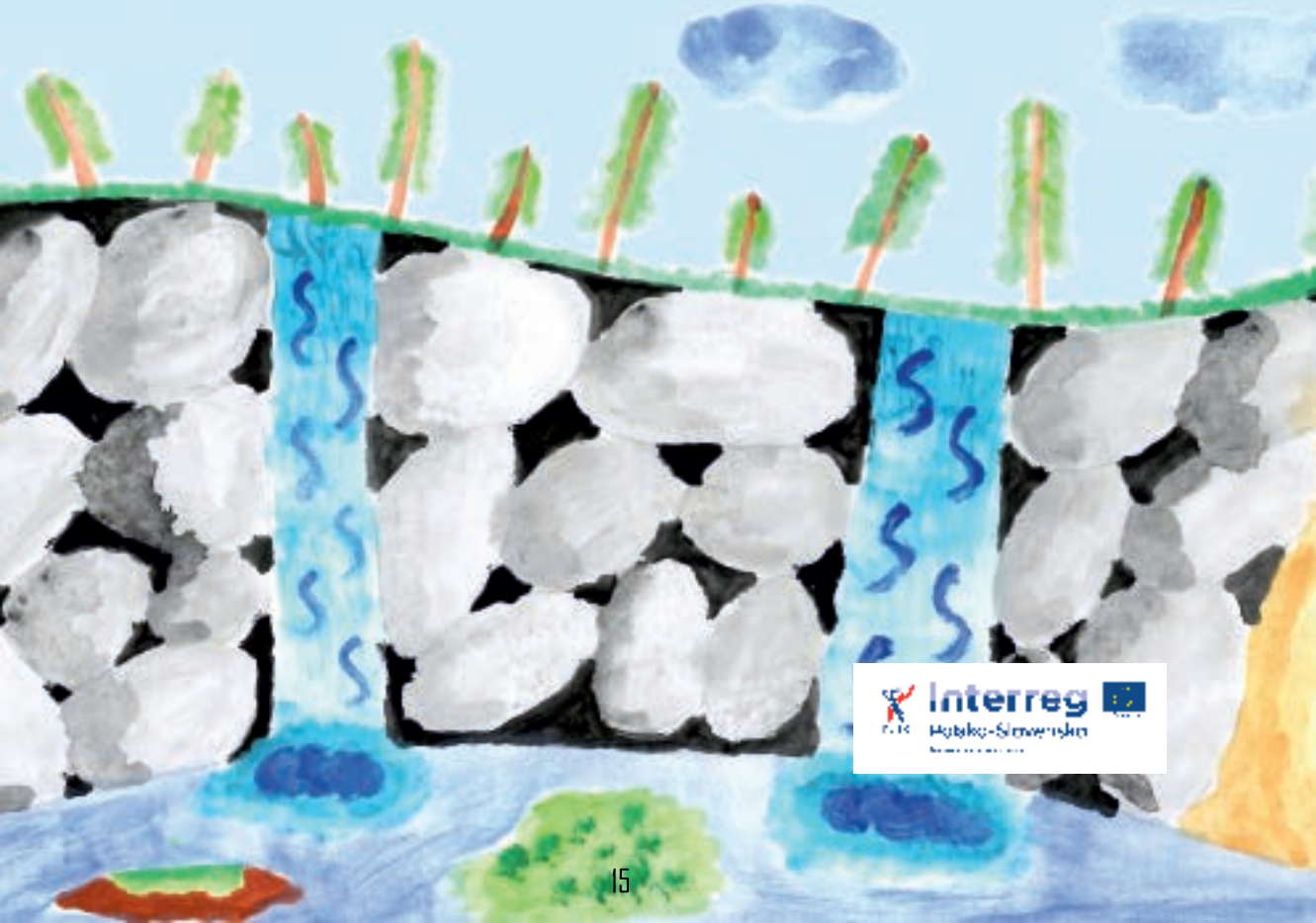

© Obec Oravská Polhora
© Urząd Gminy Zawoja
Všetky práva vyhradené. Žiadna časť tejto publikácie sa nemôže reprodukovať, ukladať do informačných systémov alebo rozširovať v akejkoľvek forme bez predchádzajúceho písomného súhlasu majiteľa autorských práv.
"Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana przechowywana jako źródło danych i przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu bez pismenej zgody posiadaczy praw."

Eva Kurjaková: LEGENDY BABEJ HORY / Legendy spod Babiej Góry

Ilustrovali žiaci/ilustrowane przez uczniów ZŠ s MŠ Oravská Polhora a SP Zawoja Centrum

Tajemnice Babiej Góry / Tajomstvá Babej hory
INT/EB/BES/1/II/B/0105
2019

ISBN 978-80-570-0932-0

Eva Kurjaková

LEGENDY BABEJ HORY

Legendy spod Babiej Góry

obsah knihy / *zawartość książki*

3	Babia hora a Magura	4	Babia Góra i Magura
7	Nočnice	9	Nocnice
11	Útulňa na Babej hore	12	Schronisko na Babiej Górze
13	Čarodejník	14	Czarownik
17	Utopenec	19	Topielec
20	Horskí junáci	23	Górscy Junacy
26	Keď utekajú králi	28	Gdy uciekali królowie
30	Život v horách	34	Życie w górach
38	Na dedine	40	Na wsi
42	Veterný mlyn	43	Wietrzny młyn
44	Fašiangy	45	Karnawał
47	Povery	50	Zabobony
53	Škola a kostol	54	Wieś na granicy
56	Dedina na hraniciach	59	Szkoła i kościół
61	Šatka	63	Chustka
65	Zbojníci	67	Zbójnicy
68	Polhorské priehrady	69	Jazy w Półgórze
71	Názvy vrchov a potokov Babej hory	72	Nazwy szczytów i potoków Babiej Góry
75	Tomek	77	Tomek
80	Kúpele	82	Uzdrowisko
	Informátori		Informatorzy
	Ilustrácie		Ilustracje
	O autorke		O autorce

Babia hora a Magura

Tam, kde sa dnes rozprestierajú vody Oravskej priehrady, boli kedysi miesta, kde sa zlievali vody Slanej rieky a Bielej Oravy. O kus ďalej tieto dve vody prijali k sebe ich sestru Čiernu Oravu. Spolu potom prúdili z kopcov do Tvrdošína, kde sa posilnili o ďalšie prítoky a pokračovali celou Oravou už akoby jedna rodina pomedzi kopce, až kým sa nespojili s ich bratom, ktorý sa volal Váh. Obe sestry Oravy - Biela a Čierna sa horko-ťažko predierali pomedzi húštiny a vysoké pralesy, kým si našli cestu, kde sa mohli stretnúť. Vtedy tu ešte nebolo ani človiečika, žila tu iba divá zver - medvede, vlky, rysy, líšky, ale aj obrovské, divé zubry. Dookola iba samé kopčiská, iba kde - tu medzi kopcami sa nachádzala menšia rovinka.

No táto divočina netrvala večne. Po čase prišiel do kopcov a dolín človek. Usadil sa tam, kde našiel väčšiu alebo menšiu polianku medzi tými staročnými stromiskami. Po čase priviedol do tohto kraja, ktorý mu poskytoval všetko potrebné pre život, svoju rodinu. Veď čo mu tu chýbalo? Lesy boli plné zveri, rieky a potoky plné rýb, na nebi poletovalo božie vtáctvo všetkého druhu a veľkostí. V lete nad tým všetkým svietilo zlaté slnko a osvetľovalo lúky zakvitnuté kvetmi tých najkrajších farieb a tvarov uprostred zelenej trávy.
Ľudia, ktorí prišli z ktorejsi krajiny večného snehu a ľadu, tu našli svoj naozajstný raj na zemi.

Títo prví ľudia v Beskydách boli vraj veľmi vysokého vzrastu a nazývali sa obri. Obrí muži boli pokojní, dobre spolu vychádzali, po práci si večermi radi sadli na najbližšie kopce ako na stoličky. Ponad rieky a doliny si pripaľovali fajky, bafkali, až sa v dolinách rozprestierala hustá hmla a viedli spolu múdre reči, ako sa na chlapov - obrov patrí. Kamarátili sa aj s obrom zo vzdialených, ale najvyšších vrchov na širokom okolí. Ani jeden vrch ešte nemal svoje meno.

Celkom iné boli ich ženy. To boli také „vadibaby“. Pre každú hlúposť sa hneď zvadili. Čím lepšie sa im vodilo, tým viac rástli ich nároky. Už nestačil každej rodine jeden vrch, poškuľovali po okolí, ktorý kopec by bol lepší, krajší, bohatší. Zrazu im boli tesné doliny pod vrchmi, pozerali na okolité kopce, ako ich dostať pre seba a pre svoje rodiny. Skrátka, ovládlo ich lakomstvo, ktoré celkom zničilo doteraz dobré vzťahy medzi obrími rodinami. Kým sa cez deň ich muži vzdialili za robotou, ženy často trávili čas zvadami. Aby ich bolo dobre počuť, každá sa postavila na jeden kopec a z jedného kopca na druhý na seba vykrikovali to najhoršie, čo im slina priniesla na jazyk.

Najhoršie boli dve obryne, ktoré žili na dvoch kopcoch oproti sebe. Jedna žila na najvyššom kopci na okolí a volala sa Baba, druhá Vavra bývala na menšom kopci, ale aj k tomu patrila celá hora. Iba tretia obryňa, tá z tých najvyšších kopcov bola tichá a skromná a nestačila sa čudovať, čo tie dve vystrájajú. Občas im aj dohovárala, ale tie akoby boli hluché a slepé. Každá mala len tú svoju pravdu a čím menšia bola tá ich pravda, tým zúrivejšie ju vykrikovali do sveta. Lakomejšia Baba si myslela, že jej patrí aj kopec, na ktorom žila obryňa Vavra, tá naopak, bola presvedčená, že aj Babin kopec by mal patriť jej rodine, ktorá sa utešene rozrastala.

Raz na seba opäť takto pokrikovali, ich škrekľavý hlas sa niesol ponad tiché doliny. Z vyššieho kopca škriekala Baba:

- Moja hora ti nikdy nebude patriť, to si zapamätaj!Toto je moja, Babina gura! Babigura!

A z toho trochu menšieho vrchu zasa vyvreskovala Vavra:

- A moja hora nikdy nebude tvoja, to je môj vrch, ma gura! Magura! Magura!

Obryňa na vzdialenom, najvyššom kopci len vzdychala, keď videla a počula, čo tie dve stvárali. Videla, že to je koniec priateľstva troch obrích rodín. Nebola veľmi výrečná, nikdy sa nezapájala do žiadnych sporov, aj teraz vypustila z úst iba: „Ta- tri, ta- tri". Akože ta pošlo kamarátstvo troch obrích rodín.

Obri sa pominuli, kraj osídlili iní ľudia, ale ostala po nich pamiatka. Od tých čias ostali tým horstvám mená, ktoré im dali tri obryne: najvyššia hora Beskýd ostala Babou horou, menšie pohorie trochu južnejšie Magurou a najvyššie kopce v diaľke ostali Tatry.

Babia Góra i Magura

Tam, gdzie dziś rozpościera swe wody Jezioro Orawskie, było kiedyś miejsce, w którym zlewały się wody Słonej Rzeki i Białej Orawy. Nieco dalej obie łączyły się ze swoją siostrą Czarną Orawą. Choć zanim to się stało obie siostry Biała i Czarna Orawa musiały mozołem przedzierać się przez zagajniki i wysoką puszczę. Potem płynęły razem z gór do Twardoszyna, a po drodze dołączały do nich inne rzeczki i potoki, i płynęły przez całą Orawę pomiędzy górami już jak jedna rodzina, dopóki nie spotkały się koło Królowan ze swoim bratem Wagiem. Nie było tu wtedy jeszcze żadnych ludzi, żyły tylko dzikie zwierzęta – niedźwiedzie, wilki, rysie, lisy i ogromne żubry. Wokół były same góry i tylko gdzieniegdzie między nimi mała równinka.

Nie trwało to jednak wiecznie. Po pewnym czasie pojawił się w górach i dolinach człowiek. Osiedlał się tam, gdzie znalazł większą lub mniejszą polankę pomiędzy stuletnimi drzewami. Potem sprowadził do tej krainy, która dawała mu wszystko, co było do życia potrzebne, swoją rodzinę. Czegóż mu brakowało? Lasy były pełne zwierzyny, rzeki i potoki pełne ryb, po niebie przelatywało ptactwo boże wszelkiego rodzaju i wielkości. W lecie świeciło nad tym wszystkim złote słońce i oświetlało łąki, na których wśród zielonej trawy kwitły kwiaty w najpiękniejszych kolorach i kształtach.

Ludzie, którzy przywędrowali tu z którejś krainy wiecznego śniegu i lodu, znaleźli dla siebie prawdziwy raj na ziemi.

Ci pierwsi mieszkańcy Beskidów byli ponoć bardzo wysocy, a nazywali się olbrzymi. Mężczyźni-olbrzymi byli bardzo spokojni, zgodnie ze sobą żyli, a po pracy wieczorami chętnie siadali na najbliższych górach, jak na stołkach. Patrząc na rzeki i doliny palili fajki, puszczając dym tak, że doliny pokrywała gęsta mgła i prowadzili mądre rozmowy, jak na mężczyzn-olbrzymów przystało. Przyjaźnili się z olbrzymami z odległych i najwyższych szczytów w całej okolicy. Wtedy jeszcze żadna góra nie miała swojej nazwy.

Zupełnie inne były ich kobiety. Były to prawdziwe „kłótnice”, o każde głupstwo natychmiast wszczynały zwady. Im lepiej im się wiodło, tym więcej chciały. Już nie wystarczała im jedna góra dla każdej rodziny, szukały wkoło, które wzgórze by mogło być lepsze, ładniejsze, bogatsze. Nagle górskie doliny stały się dla nich za ciasne, zerkały na okoliczne szczyty i myślały, jak je zdobyć dla siebie i swoich rodzin. Jednym słowem, dopadła je chciwość, która zniszczyła zgodę panującą dotychczas między rodzinami olbrzymów. Gdy w ciągu dnia mężczyźni wychodzili do pracy, kobiety często kłóciły się ze sobą, a żeby było je dobrze słychać, każda stawała na swojej górze i z jednej góry na drugą wykrzykiwały do siebie najgorsze rzeczy, jakie im ślina na język przyniosła.

Prym w tym wiodły dwie olbrzymki, które mieszkały na dwóch szczytach naprzeciwko siebie. Ta, do której należała najwyższa góra w okolicy, nazywała się Baba, a druga – na mniejszej górze, która jednak cała do niej należała – miała na imię Wawra. Tylko trzecia olbrzymka, ta z najwyższych gór, była cicha i skromna, więc nie mogła nadziwić się, co te dwie wyprawiają. Czasami im też dogadywała, ale obie były jak ślepe i głuche. Każda miała tylko swoją rację, a czym mniej jej miała, tym zawzięciej krzyczała. Baba, która była bardziej chciwa, myślała, że do niej należy góra, na której mieszkała olbrzymka Wawra, a ta na odwrót, była przekonana, że również góra Baby powinna należeć do jej rodziny, która szczęśliwie się rozrastała. Pewnego razu znów tak na siebie pokrzykiwały, a ich skrzekliwe głosy niosły się nad cichymi dolinami. Z wyższej góry zaskrzeczała Baba:

- Moja góra nigdy nie będzie twoja, zapamiętaj sobie! To jest moja, Babina góra! Babia Góra!

Na to z niższego szczytu odkrzyknęła Wawra:

- A moja góra nigdy nie będzie twoja, to mój szczyt, moja góra! Ma góra! Magura!

Olbrzymka na odległym najwyższym szczycie tylko wzdychała, gdy widziała i słyszała, co te dwie robią. Widziała, że to koniec przyjaźni. Nie była zbyt rozmowna, nigdy nie wchodziła w żadne spory, więc tylko westchnęła: „Ta- try, ta- try“. Żałowała trzech rodzin olbrzymów.

Olbrzymy opuściły tę krainę, osiedlili się tu inni ludzie, ale została po nich pamiątka. Z tamtych czasów pozostały nazwy gór, które nadały im trzy olbrzymki. Najwyższa góra w Beskidach została Babią Górą, mniejsze i leżące trochę bardziej na południe wzniesienie Magurą, a najwyższe szczyty w oddali nazywają się Tatry.

kłótnice *– kobiety, które lubią się kłócić*

Nočnice

Tá jedľa ešte donedávna stála, čo pod ňou spávali tí robotníci.
To bolo tak. U nás v Korbieľove nebolo roboty. Chlapi posedávali len tak po domoch, bolo ich veľa bez práce. A bolo treba zarobiť aspoň na obilie, aby bolo čo zomlieť na chlieb.

Raz prišiel do Korbieľova taký pribiš, prišelec. Sedel na takom čudnom povoze, dve široké dosky zbité spolu. Nohavice mal z hrubého zeleného súkna, kapeľus ako cylinder. Oblečený bol celkom inakšie, ako sa obliekali chlapi u nás. Inak bol dosť fajný, všetky baby za ním chodili. A to bol hájnik z Polhory na Orave, robil na lesnej správe. Hľadal chlapov do roboty, aby išli stínať stromy pod Babiu horu, okresávať z nich haluze a drevo spúšťať do doliny. Hneď sa našlo dvanásť chlapov, ochotných a schopných na takú ťažkú robotu. Hájnik im prikázal, aby si so sebou vzali trojkráľovú kriedu, svätenú vodu a posvätené byliny, ktoré sa dávajú mŕtvemu pod hlavu, aby zaháňali zlých duchov.

Hájnik si sadol do prostriedku na ten divný povoz z dvoch dosák a chlapom prikázal, aby si políhali okolo neho hlavami k nemu a nohami von tak, aby oči upierali do oblakov. Povoz išiel veľmi rýchlo, až jeden z chlapov zjajkol: - hop, hop, hop, počkať, lebo mi z hlavy spadla čiapka. A hájnik mu na to, že odvtedy, čo mu vietor zobral čiapku z hlavy, už prešli sto míľ a on sa veru pre jednu čiapku vracať nebude. Tak leteli bez zastavenia ďalej. Keď prišli pod Babiu horu, hájnik prikázal, aby chlapi zišli z toho povozu, zobrali so sebou píly, sekery a topory. Zaviedol ich do pralesa, kde im ukázal pás hory, v ktorom mali stínať hrubizné stromiská. Nič viac im nepovedal, vedel, že skúsení drevorubači vedia najlepšie sami, ako a čo treba robiť. Odchádzal preč, ale sľúbil im, že príde napoludnie a prinesie im jedlo. Chlapi stínali celý deň, už boli hladní aj smäd ich trápil a hájnik nikde. Na pitie si našli studničku, z ktorej si uhasili smäd, ale pri ťažkej robote by si už radi aj zajedli, ale hájnik nikde. Až celkom podvečer im priniesol stravu, akou sa v tých časoch živili ľudia na Orave,ovsené placky, ktoré zapíjali cmarom.

Keď si zajedli, ukázal im miesto, kde budú spať. Nablízku nebolo žiadneho obydlia, nuž mali spať na kraji hory, pod holým nebom, pod jedľou, ktorá bola najhrubšia v širokom - ďalekom okolí. Prikázal im, aby si trojkráľovou kriedou opísali kruh. Do kruhu aby si políhali tesne vedľa seba, hlavami k sebe a nohami von tak, aby sa medzi nich už nikto nezmestil. V tom kruhu sa mali pokropiť svätenou vodou a uložiť si k sebe tie posvätené zeliny, lebo v noci chodia nočnice. Boli to lesné víly, ktoré vábili drevorubačov, aby ich zmárnili. Všetky tieto opatrenia mali chlapov pred nimi ochrániť.

Chlapi urobili všetko tak, ako im hájnik prikázal a uložili sa spať. Po celodennej ťažkej práci sa pred spaním pomodlili, lebo bez božieho požehnania sa nič na svete nepodarí. Takto sa modlili: „Pane, ktorý si ma krstil, svätá Anna, ktorá si mi dala meno, svätý kríž nado mnou verne stojaci, svätý Jozef, zmilujte sa nad nami.“ Len čo sa pomodlili, zaspali tak tvrdo, akoby ich niekto ovalil drúkom. Ani zem sa im nezdala tvrdá, takí boli ustatí. Iba jeden z nich sa uvzal, že on veru spať nebude. Chcel vedieť, či je pravda o tých nočniciach, alebo či si to hájnik všetko len vymyslel.

Veď doteraz ešte nikdy o nočniciach nepočul. Leží, hľadí na nebo, aby nezaspal. Vidí, ako na nebi vychodia hviezdy, kuriatka, veľký voz, malý voz... Podľa hviezd spoznal, že nadchádza polnoc. Zrazu len vidí, ako z neďalekého potoka letia dve svetielka a rovno k nim. –To budú tie nočnice, hovoril si. Ako sa blížili, jedna z nich volala: - Poď k nám, poď! Tu žiť a túžiť a nemať sa kde pritúliť! Poletovali okolo kruhu, v ktorom spali hlavami pri sebe chlapi a čudovali sa: - Obleteli sme sedemdesiatsedem grúnikov, ale také čudo sme ešte nevideli. Vyšli chlapom na nohy, ktoré im trčali z kruhu, chudými a studenými nohami im ich deptali, svetielkami im svietili do očí a pýtali sa: - Spíte, či nie? Lebo ak nespíte, tak vás zvábime do tanca a zamordujeme. Keď videli, že chlapi tvrdo spia, nakoniec sa na im na tie trčiace nohy ešte aj vymočili. Ten, čo nespal, to už nevydržal a zasmial sa. Keď to nočnice zbadali, chceli ho za nohy vytiahnuť spomedzi tých chlapov a boli by ho tam veru zamordovali, keby nie tej svätenej vody a tých zeliniek, len tými sa oháňal. Videli, že sa im to nepodarí, hrozne sa nahnevali a chlapovi pohrozili: - Ej, keby nebolo tých zeliniek, tej trojkráľovej kriedy a svätenej vody, boli by sme ťa povláčili po horách, po potokoch a mokradiach tak, že by z teba nebolo ostalo ani kúska celého!

Tá jedľa, pod ktorou sa príbeh s nočnicami odohral, ešte dlho potom stála pod Babou horou. Keď už bola celkom stará, museli ju zoťať. Bola vraj strašne hrubá, lebo peň z tej jedle zobrali na pamiatku na Oravský hrad, kde ho doteraz ukazujú ako najhrubšiu jedľu spod Babej hory.

Neznáme slovíčka:

Korbieľov *– prvá dedina za hranicou Slovenska s Poľskom*

Nočnica – *lesná víla, ktorá mala moc len počas noci*

Topor *– široká tesárska sekera*

Trojkráľová krieda *– krieda, posvätená v kostole na sviatok Troch kráľov*

Vadibaby *– ženy, ktoré sa radi hádajú*

Kapeľus *– klobúk*

Cmar *- podmaslie*

Nocnice

Ta jodła jeszcze do niedawna stała i co noc sypiali pod nią robotnicy.
Było to tak. U nas w Korbielowie nie było pracy. Z tego powodu chłopi przesiadywali w domach, a przecież trzeba było zarobić przynajmniej na zboże, żeby było co zemleć na chleb.

Raz zjawił się we wsi pewien przybysz, cudzoziemiec. Siedział na dziwnym wozie ze zbitych razem dwóch szerokich desek. Spodnie miał z grubego zielonego sukna, kapelusz jak cylinder. Ubrany był całkiem inaczej niż się mężczyźni u nas ubierają. Był jednak dość przystojny, wszystkie baby za nim oczami wodziły. Był to leśniczy z Orawskiej Półgóry na Orawie, zarządzający tamtejszymi lasami. Szukał chłopów do roboty, którzy ścinaliby drzewa pod Babią Górą, okrzesywali je z gałęzi i spuszczali drewno w doliny. Szybko znalazło się dwunastu chłopa chętnych i zdatnych do ciężkiej roboty. Leśniczy kazał im, by wzięli ze sobą poświęconą na Trzech Króli kredę, święconą wodę i poświęcone zioła, które kładzie się zmarłemu pod głowę, by odganiały złe duchy.

Leśniczy siadł na środku tego dziwnego wozu z dwóch desek, a chłopom kazał, by położyli się wkoło niego głowami do środka, a nogami na zewnątrz i by się wpatrywali w chmury. Wóz jechał tak szybko, że nagle jeden z chłopów krzyknął:
- Hop! Hop! Hop! poczekajcie, bo mi czapka spadła z głowy.

Leśniczy odpowiedział, że od chwili, gdy wiatr mu porwał czapkę z głowy, przejechali już sto mil i przecież po jedną czapkę nie będzie się wracał. Gnali, więc bez przystanku dalej. Kiedy zajechali pod Babią Górę, leśniczy kazał, by chłopi zsiedli z wozu, wzięli ze sobą piły, siekiery i topory. Zaprowadził ich do lasu, gdzie im pokazał pas góry, gdzie mieli ścinać grube drzewa. Nic więcej nie powiedział, bo wiedział, że doświadczeni drwale sami najlepiej wiedzą, jak i co trzeba robić. Poszedł sobie, ale obiecał, że przyjedzie w południe i przyniesie im jedzenie. Chłopi ścinali drzewa cały dzień, byli już głodni i chciało im się pić, a leśniczego ani widu, ani słychu. Znaleźli źródełko, z którego się napili, ale przy ciężkiej robocie chętnie też by już coś przekąsili, a leśniczego dalej ani widu, ani słychu. Było już całkiem pod wieczór, gdy przyniósł im strawę, jaką wtedy jadali ludzie na Orawie, czyli placki owsiane i maślankę do popicia.

Gdy zjedli, pokazał im miejsce, gdzie będą spać. W pobliżu nie było żadnego domostwa, więc mieli nocować na skraju góry, pod gołym niebem, pod najgrubszą w okolicy jodłą. Kazał im, by poświęconą na Trzech Króli kredą narysowali koło. Mieli się w tym kole położyć ciasno przy sobie głowami do siebie, a nogami na zewnątrz, tak ciasno, by nikt już nie mógł się między nich wcisnąć. Kazał im też pokropić się w kole święconą wodą i rozłożyć koło siebie te poświęcone zioła, bo w nocy chodzą nocnice. Były to rusałki leśne, które wabiły drwali, na ich zgubę. Wszystko to, co kazał im zrobić miało ochronić drwali przed nocnicami.

Chłopi zrobili wszystko tak, jak im leśniczy kazał i położyli się spać. Po całodziennej ciężkiej pracy jeszcze pomodlili się przed snem, bo bez Bożego błogosławieństwa nic się na świecie nie udaje. Modlili się tak: „Panie, który przyjąłeś

mój chrzest, święta Anno, która dałaś mi imię, święty Krzyżu wiernie nade mną stojący, święty Józefie, zmiłujcie się nad nami". Ledwie się pomodlili, zasnęli tak twardo, jakby ich ktoś zdzielił polanem po głowie. Nawet ziemia nie była dla nich za twarda, tacy byli zmęczeni. Tylko jeden z nich zawziął się, że on za nic spać nie będzie. Chciał się przekonać, czy to prawda z tymi nocnicami, czy tylko leśniczy tak sobie gada. Przecież wcześniej nic nigdy o nocnicach nie słyszał. Leży, spogląda w niebo, by nie zasnąć. Widzi, jak pokazują się gwiazdy: Kurczęta, Wielki Wóz, Mały Wóz… Po gwiazdach poznał, że zbliża się północ. Nagle zobaczył, że z pobliskiego potoku lecą wprost ku nim dwa światełka.

- To pewnie te nocnice, powiedział do siebie.

Gdy zbliżyły się, jedna z nich zawołała:

- Chodź do nas, chodź! Ciężko tu żyć i tęsknić, i nie ma się gdzie przytulić!

Latały wokół kręgu, w którym spali głowa przy głowie chłopi i dziwiły się:

- Obleciałyśmy siedemdziesiąt siedem groników, ale takiego dziwu jeszcześmy nie widziały.

Weszły chłopom na nogi, które im wystawały z koła, kościstymi i zimnymi stopami po nich deptały, światełkami świeciły im w oczy i pytały:

- Śpicie, czy nie? Bo jak nie śpicie, to was zwabimy do tańca i zamordujemy.

Kiedy zobaczyły, że chłopi twardo śpią, to na koniec jeszcze im te wystające nogi obsikały. Ten, który nie spał, nie wytrzymał i w końcu się zaśmiał. Gdy nocnice to usłyszały, chciały go wyciągnąć za nogi spośród chłopów i pewnie, by go tam zamordowały, gdyby nie miał tej święconej wody i ziół, którymi się odganiał. Jak już widziały, że to się nie uda, rozzłościły się srodze i odgrażały się chłopu:

- Ej, gdyby nie było tych ziół, tej poświęconej na Trzech Króli kredy i święconej wody, to powlekłybyśmy cię górami, potokami i mokradłami tak, że ani kawałeczek nie zostałby z ciebie cały!

Ta jodła, pod którą zdarzyła się historia z nocnicami, jeszcze długo potem rosła pod Babią Górą. Kiedy już była całkiem stara musiano ją ściąć. Z pewnością była bardzo gruba, bo jej pień zabrano na pamiątkę na Zamek Orawski, gdzie do dziś jest pokazywany, jako najgrubsza jodła spod Babiej Góry.

Korbielów i Orawska Półgóra *– wsie tuż przy polsko-słowackiej granicy*
Nocnica *– rusałka leśna, która miała moc tylko w nocy*
Topór *– szeroka ciesielska siekiera*

Útulňa na Babej hore

Keď pri výstupe na Babiu horu, približne sto metrov pod vrcholom natrafíte na skalnaté pole, prišli ste na miesto, kde kedysi stála medzi turistami známa turistická útulňa. Územie, na ktorom stála, vraj prenajalo Oravské panstvo Beskydskému turistickému spolku so sídlom v BielskoBialej za jednu zlatku ročne. Útulňu riadne vysvätil vtedajší pán farár rabčanskej farnosti Jozef Murdžák. Na vysviacke útulne sa zúčastnilo veľa obyvateľov Polhory aj Rabčíc, ktorí dlho na ňu spomínali, najmä vtedy, keď už z nej neostali ani ruiny.

Pre turistov bola na vrchole Babej hory umiestnená kovová schránka s vrcholovou knihou a vraj tu stála aj meteorologická stanica, ktorá bola v tom čase najsevernejšou stanicou v celom Rakúsko-Uhorsku.

Útulňa mala svoj úradný názov„BabiagóraSchutzhaus“, ale medzi ľuďmi bola známa ako „Šlezingerova útulňa“, podľa staviteľa, ktorého tu ľudia poznali. Útulňa bola postavená z materiálu, o ktorý tu nebola núdza, z pieskovca. Bola vraj dokonca poschodová. Na prízemí bola predsieň, kuchyňa, sklad a jedáleň, na poschodí štyri izby, spálne pre štyridsaťdva turistov. Aby turistom bolo teplo, v izbách boli šamotové pece, v ktorých sa kúrilo. Neskôr bola k chate pristavaná veranda, z ktorej bol nádherný výhľad na Oravu a Tatry. O všetko bolo postarané, dokonca aj o výmenu prádla. Útulňu využívali turisti z rôznych krajín Európy, občas aj kúpeľní hostia, ktorí tu prenocovali, aby sa na druhý deň mohli kochať z nádhery vychádzajúceho slnka.

Vedľa murovanej chaty stál drevený domček, v ktorom býval prvý chatár Ján Zoššák. V neďalekých rúbaniskách mal políčko, na ktorom sadil zemiaky. Choval dvoch psov na vlastnú ochranu, aj na záchranu turistov, ktorí zablúdili. Potrebné veci pre chatára a pre turistov privážal Beskydský turistický spolok na voze čo najbližšie k vrcholu a potom ich vynášali na chrbtoch ako batožinu.

Problémy nastali, keď vypukla prvá svetová vojna. Narukoval chatár Ján Zoššák, neskôr aj druhý chatár, nepomohlo mu ani to, že bol invalid. Turistov nebolo, ľudia mali iné starosti, potrebovali prežiť, na turistiku nebol vhodný čas. V chate ostala chatárova žena s chovancom. Druhý chatár sa z vojny síce vrátil, ale s podlomeným zdravím z ruského zajatia a v roku 1919 zomrel. Chatárova žena útulňu nakoniec opustila a dala sa do služby u gazdu v Privarovke, za ktorého sa potom vydala.

Po skončení prvej svetovej vojny sa zmenili pomery nielen v Európe, ale aj v zabudnutom kúte pod Babou horou. Zmena nastala aj v útulni. Veľké Rakúsko-Uhorsko sa rozpadlo na menšie štáty a Polhora sa stala hraničnou obcou. Kraje severne od Polhory, ktoré boli do vojny súčasťou veľkej Rakúsko-uhorskej monarchie, pripadli Poľsku. Do útulne sa nasťahovali poľskí a československí členovia komisie, ktorá vytyčovala nové hranice, pretože štrnásť oravských obcí pripadlo Poľsku. Spolu s obcami pripadla Poľsku aj časť Babej hory, na ktorej stála útulňa.

V roku 1949 vyhorela a trosky útulne boli neskôr zrovnané so zemou. Turistická útulňa pod vrcholom Babej hory ostala len v spomienkach.

Pod Babou horou bola postavená nová turistická útulňa, ale už na mieste súčasnej chaty Slaná voda, nie pod vrcholom Babej hory.

Schronisko na Babiej Górze

Gdy wchodząc na Babią Górę, natraficie około sto metrów od szczytu na gołoborze, znaczy to, że jesteście na miejscu, gdzie dawniej stało często odwiedzane przez turystów schronisko. Teren, na którym je zbudowano, państwo orawskie wydzierżawiło niemieckiej organizacji turystycznej Beskidenverein z Bielska za symboliczną złotówkę rocznie. Schronisko poświęcił ówczesny proboszcz parafii w Rabczy Jozef Murdžák. W wydarzeniu tym brało udział wielu mieszkańców Półgóry i Rabczyc, którzy długo tę uroczystość wspominali, zwłaszcza wtedy, gdy ze schroniska już pozostały tylko ruiny.

Na szczycie Babiej Góry umieszczono dla turystów metalową skrzynkę z książką wejść na szczyt, do której wpisywali się kolejni śmiałkowie. Podobno znajdowała się tam także stacja meteorologiczna, która w tym czasie była najbardziej wysuniętą na północ stacją w całych Austro-Węgrzech.

Urzędowa nazwa schroniska brzmiała „BabiagóraSchutzhaus“, ale mieszkający w okolicy ludzie nazywali je schroniskiem Schlesingera, od nazwiska budowniczego, którego znali. Schronisko było zbudowane z piaskowca, czyli łatwo dostępnego na tym terenie materiału. Podobno było piętrowe. Na parterze był przedsionek, kuchnia, magazyn i jadalnia, a na piętrze: cztery pokoje, które były sypialniami dla czterdziestu dwóch turystów. By turystom było ciepło, pokoje opalano szamotowymi piecami. Później do schroniska została dobudowana weranda, z której roztaczał się przepiękny widok na Orawę i Tatry. Wszystko było dobrze zorganizowane, nawet wymiana pościeli. Ze schroniska korzystali turyści z różnych krajów Europy, a czasem kuracjusze z pobliskiego uzdrowiska w Półgórze, którzy w nim nocowali, by na drugi dzień mogli rozkoszować się przepięknym wschodem słońca.

Obok murowanego schroniska stał drewniany domek, w którym mieszkał pierwszy gospodarz schroniska Jan Zosiak. Na niedalekiej porębie miał małe poletko ziemniaków. Mieszały z nim też dwa psy, które nie tylko umiały go bronić, ale pomagały również szukać turystów, który zabłądzili. Rzeczy potrzebne gospodarzowi i gościom Beskidenvereine podwoziło wozem jak najbliżej szczytu, a dalej wnoszono je na plecach.

Kłopoty zaczęły się po wybuchu pierwszej wojny światowej. Jan Zosiak został powołany do wojska, a potem również drugi gospodarz schroniska, pomimo że był inwalidą. Turystów nie było, ludzie mieli inne problemy, martwili się jak przeżyć, nikt nie miał czasu na turystykę. W schronisku została tylko żona gospodarza z pasierbem. Drugi gospodarz schroniska wrócił co prawda z wojny, ale ze zdrowiem zrujnowanym w rosyjskiej niewoli i zmarł w 1919 roku. Zosiakowa w końcu opuściła

schronisko i poszła na służbę do gospodarza z Przywarówki, za którego wyszła później za mąż.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej wiele zmieniło się nie tylko w Europie, ale także w zapomnianym kącie pod Babią Górą. Nowe porządki nie ominęły również schroniska. Wielkie Austro-Węgry rozpadły się na mniejsze państwa i Półgóra stała się miejscowością graniczną. Tereny na północ od Półgóry, które przed wojną należały do Austro-Węgier, przypadły Polsce. Do schroniska przyjechali polscy i czechosłowaccy członkowie komisji, która wytyczała nowe granice, ponieważ czternaście wsi znalazło się w Polsce. Razem z tym miejscowościami Polska otrzymała także część Babiej Góry, na której było schronisko, które niestety spłonęło w 1949 r.

Dziś schronisko pod szczytem Babiej Góry zostało tylko we wspomnieniach.

Pod Babią Górą zbudowano nowe schronisko turystyczne, ale już w miejscu dzisiejszego schroniska Słona Woda, a nie pod szczytem Babiej Góry.

Čarodejník

U nás spomínali čarodejníka z Polhory, dajme mu meno Jano. Vedel vraj ľuďom porobiť tak, že potom urobili všetko, čo im prikázal. Ľudia sa ho preto báli a zďaleka ho obchádzali, len aby sa mu nepriplietli do cesty. Iba mladá Magda z Korbieľova sa ho spočiatku nebála.

Z malej Magdy vyrástla pekná dievka. Keď dovŕšila osemnásť rokov, bola celá zbláznená za chlapcami, ale hlavne za muzikou. Aj ona sa chlapcom páčila, bola súca dievka, do koča, aj do voza. Šikovná do tanca, ale aj do roboty. Keď tancovala, mala nohy ľahké ako pierko, keď robila, nebolo jej páru široko-ďaleko. Magda rada chodievala na Oravu, mala tam tetku, ktorej chodila pomáhať sadiť zemiaky, kvaku. Tetka jej za to občas niečo kúpila, raz šatku, inokedy čižmy alebo inú parádu, ktorej sa mladé dievča vždy zaradovalo. V Korbieľove bývali muziky často, ale keď náhodou prišla sobota a muziky nebolo, Magda sa vybrala do Polhory. V Polhore vtedy bývali muziky každú sobotu a Magda veru nechýbala ani na jednej. Keď tancovala, zabúdala na celý svet, počula len hudbu a spev a cítila náruč mládenca, ktorý s ňou tancoval. Oravskí mládenci s ňou radi laškovali, volali ju do tanca a Magda sa medzi nimi cítila ako v siedmom nebi.

Po istom čase prišiel do Polhory mládenec Jano, odkiaľsi z Lipnice. Magda sa mu hneď zapáčila, bola švárna a tancovala ľahko ako aj on sám, bola mu teda takou partnerkou do tanca, akú si vysníval. Magdu ani nepúšťal z rúk, musela s ním tancovať každučký jeden tanec. Ak nedajbože Magdu vyzval do tanca iný mládenec, Jano hneď s ním skákal do bitky. Aj keď tancoval pekne, ľahko, Magde sa napriek tomu čosi na ňom nepáčilo. Možno to bol jeho vzhľad, možno to, že bol taký divoký a možno pre povesť čarodejníka, ktorá ho sprevádzala už z Lipnice. Aj sám sa mládencom v krčme pochválil, že má doma čarodejnícku knihu, pomocou ktorej porobí každému, kto mu bude robiť prieky. O Janovi sa po Polhore niesol chýr, že je čarodejník a kto mu zaprieči, tomu porobí.

Od jari až do jesene Magdu vykrúcal na každej muzike a keď sa jeseň chýlila k zime, zrazu sa vyjadril, že by sa s ňou chcel oženiť. Ale Magda len zbledla a neodpovedala. On naliehal: - Prečo mi neodpovedáš? Ja by som si ťa skutočne chcel zobrať za ženu. Vidíš, ako nám to spolu dobre ide v tanci, tak dobre nám to iste pôjde aj v spoločnom živote. Magda pozbierala všetku odvahu a drsne odmietla svojho tanečníka: - Ja mám dosť chlapcov vo svojej dedine, prečo by som sa mala vydať za Slováka?

Svojou odpoveďou ho Magda strašne ponížila, pred všetkými na ňu zreval:
- Ja ti tak porobím, že ty sama prídeš ku mne o polnoci a prídeš nahá! Budeš ma chcieť a ja ťa budem biť a odháňať od seba! A ty sa ma napriek tomu budeš držať ako voš kožucha! Magda zbledla ešte viac a utekala z muziky rovno k tetke, ktorej rozpovedala všetko, čo sa stalo. Tetka sa strašne zľakla. Povedala Magde: - Dievča moje, rýchlo sa zober a radšej utekaj domov, aby som s tebou aj ja nemala starosti.

Nočnou hodinou Magda utekala od tetky z Polhory cez hory a grúne, cez potoky. Ako bez duše doletela domov do Korbieľova. Keď prestrašená rozpovedala, čo sa jej prihodilo, mater na ňu skríkla: - No, to si si ale vytancovala! Porobeninu! Ale chcela svojej dievke pomôcť, preto sa hneď ráno vyžalovala susedkám. Jedna z nich poradila, ako porobeninu odčarovať. Magda si musela zo seba vyzliecť všetko, čo mala na sebe, obrátiť šatstvo naopak a znovu sa doňho obliecť. Krpce si mala obuť z pravej nohy na ľavú a z ľavej na pravú. Do postele dali posvätené zeliny čo odháňajú neduhy, Magdu uložili do postele na tie zeliny a priviazali ju o nohy postele. Magda takto spávala celý týždeň, ale aj celá rodina čujne spávala, dávala pozor, či počarovaná Magda nebude chcieť ujsť za Janom. Keď sa z čarov dostala, vzdychla si rodina:
- Ej, keby nie tie rady susediek a tých zelín, Jano by bol čarami Magdu prilákal na Oravu.

Magda po tejto udalosti už viac nešla na Oravu tancovať. Po čase sa vydala za chlapca zo svojej dediny a vychovala päť krásnych detí. Nevedno, prečo Janove čary na ňu nezapôsobili. Či ju mal tak rád, že ju nepočaroval, alebo pomohli rady susedky. Isté je, že Jano ostal bývať v Polhore, ale nikdy sa neoženil, možno stále banoval za svojou krásnou tanečnicou.

Czarownik

Opowiadano u nas o czarowniku z Półgóry, nazwijmy go Jano. Ponoć mógł człowieka tak zaczarować, że ten robił potem wszystko, co mu czarownik kazał. Dlatego ludzie bali się go i omijali z daleka, by mu nie wejść w drogę. Tylko młoda Magda z Korbielowa na początku znajomości się go nie bała.

Z małej Magdy wyrosła piękna dziewczyna. Kiedy skończyła osiemnaście lat, szalała za chłopakami, a jeszcze bardziej za potańcówkami. Ona też się podobała chłopakom, była to szykowna dziewczyna i do tańca i do różańca. Zdatna do tańczenia, ale i do roboty. Kiedy tańczyła, miała nogi lekkie jak piórko, kiedy pracowała nikt nie mógł jej dotrzymać kroku. Magda chętnie chodziła na Orawę,

miała tam ciotkę, której pomagała sadzić ziemniaki i brukiew. Ciotka jej za to czasami coś kupowała, a to chustkę, a to kiedy indziej buty z cholewkami lub inny fatałaszek, z którego młoda dziewczyna zawsze się cieszyła. W Korbielowie potańcówki były często, ale gdy trafiła się sobota, a potańcówki nie było, to Magda szła do Półgóry. W Półgórze były wtedy zabawy w każdą sobotę, więc i Magda w każdą sobotę tańcowała. Kiedy tańczyła, zapominała o całym świecie, słyszała tylko muzykę i śpiew oraz czuła ramiona kawalera, który z nią tańczył. Orawscy chłopcy lubili się z nią bawić. Zapraszali ją do tańca, a Magda czuła się między nimi jak w siódmym niebie.

Po pewnym czasie zjawił się w Półgórze Jano. Przyszedł skądś z Lipnicy. Magda od razu mu się spodobała, była szwarna i tańczyła tak lekko, jak on sam, była więc wymarzoną partnerką do tańca. Nie odstępował Magdy na krok, musiała z nim tańczyć każdy jeden taniec. Jeśli, nie daj Boże, zaprosił ją do tańca inny kawaler, to Jano zaraz skakał do bitki z nim. Jednak choć tańczył pięknie i lekko, to Magdzie coś się w nim nie podobało. Może był to jego wygląd, może to, że był taki gwałtowny, a może słuchy, które szły za nim aż z Lipnicy, o tym, że jest czarownikiem. Przecież nawet sam chwalił się chłopakom w karczmie, że ma w domu czarnoksięską księgę i dzięki niej może urzec każdego, kto mu się narazi. W Półgórze o Janie mówiono, że jest czarownikiem i na każdego, kto mu wejdzie w drogę, może rzucić urok.

Od wiosny aż do jesieni kręcił Magdą na każdej zabawie, a kiedy jesień chyliła się ku zimie, nagle powiedział, że chciałby się z nią ożenić. Ale Magda tylko zbladła i nic nie odpowiedziała. On nalegał:

- Czemu mi nie odpowiadasz? Naprawdę chciałbym, żebyś była moją żoną. Widzisz, jak nam dobrze idzie razem w tańcu, tak nam też pójdzie razem w życiu.

Magda zebrała się na odwagę i szorstko odpowiedziała swojemu tancerzowi:

- Mam dość chłopców w swojej wsi, czemu miałabym się wydać za Słowaka?

Magda odpowiedzią bardzo go poniżyła, więc przy wszystkich na nią wrzasnął:

- Tak cię zaczaruję, że sama przyjdziesz do mnie o północy i to naga! Będziesz mnie chciała, a ja cię będę bić i odganiać od siebie! A ty mimo to, będziesz się mnie czepiać jak rzep psiego ogona! Magda zbladła jeszcze bardziej i uciekła z zabawy wprost do ciotki, której opowiedziała o wszystkim, co się stało. Ciotka się okropnie przestraszyła i powiedziała Magdzie:

- Dziewczę moje, zbieraj się szybko i uciekaj lepiej do domu, żebym tu nie miała z tobą kłopotów.

Ciemną nocą Magda uciekała od ciotki przez góry i gronie, przez potoki. Bez tchu dobiegła do domu, do Korbielowa. Kiedy przestraszona opowiedziała, co się jej przydarzyło, matka na nią krzyknęła

- No, toś sobie wytańcowała! Urok!

Chciała jednak swojej córce pomóc, więc rano pożaliła się sąsiadkom. Jedna z nich poradziła, jak urok odczarować. Magda musiała wszystko z siebie zdjąć, obrócić ubranie na lewą stronę i znowu je włożyć. Kierpce miała przezuć z prawej nogi na lewą, a z lewej na prawą. Do łóżka położono jej poświęcone rośliny, które odganiają nieszczęścia. Magdę musiała spać na tych ziołach i przywiązano ją

w nogach łóżka. Tak sypiała cały tydzień, jej rodzina też czujnie spała, bo pilnowała czy zaczarowana Magda nie będzie chciał uciekać do Jana. Kiedy po siedmiu dniach została uwolniona od czarów, odetchnęła cała rodzina:

- Ech, gdyby nie rady sąsiadek i te zioła, Jano ściągnąłby czarami Magdę na Orawę.

Po tej historii Magda już więcej nie poszła tańczyć na Orawę. Po pewnym czasie wyszła za mąż za chłopca ze swojej wsi i wychowała pięcioro pięknych dzieci. Nie wiadomo, czemu czary Jana na nią nie podziałały. Czy tak ją kochał, że nie rzucił na nią uroku, czy pomogły rady sąsiadki. Pewne jest, że Jano zamieszkał na stałe w Półgórze, ale nigdy się nie ożenił. Może wciąż tęsknił za swoją piękną tancerką.

Utopenec

Ja vám poviem niečo o tom, ako moja babka s dedkom kúpili na Orave dvadsať husí.

Kúpili dvadsať odrastených húsat a pešo ich hnali z Polhory do Korbieľova. Babka išla popredu pred húsatami, v ruke držala kúsok chleba, občas im z neho trochu pomrvila a volala na ne:

-Live, live, ako sa volá na húsky. A dedko za ňou a za húsatkami dával pozor, aby sa držali pohromade a nerozchádzali sa po poliach. Keď prišli na hranicu a do korbieľovského chotára, už sa cítili dobre, ako doma. Bol podvečer, prichádzal čas na večernú modlitbu Anjel pána. Pomodlili sa, trochu si odpočinuli a pokračovali cestou do doliny. Keď prišli na mostík ponad potok, práve tiekla veľká voda - bolo po daždi. Babka zastala, pretože počula plakať dieťa, ktoré sedelo na veľkom kameni vo vode. Neďaleko žalostne plačúceho dieťaťa stála žena v kockovanej odievačke, ktorou si zakrývala aj tvár a v ruke mala piest, ktorým rozhŕňala vodu hore - dole. Babka bola zhovorčivá a hneď sa tej žene privravela: - Babulečka, čože to robíte v tej vode? Baba jej odpovedala tak, že babka jej celkom nič neporozumela: - V živej, večnej odievačke.

A vtom všetky husi šup - uleteli do vody. Babka ich chcela z tej vody vyhnať, keď došiel dedko a vraví jej: - A ty sa s kým rozprávaš, s duchmi, či s dákymi mátohami? Pretože dedko nevidel nič z toho, čo videla babka. A vtom zmizla babke spred očí i baba v odievačke i to plačúce dieťa. Babka dedkovi rozpovedala, čo videla a ten nevedel, či sa smiať, alebo žene veriť. Ale v tom čase ľudia takým veciam verili, nuž ani on nebral babkino rozprávanie na ľahkú váhu.

Bolo neskoro, začalo sa stmievať, dedko rozhodol, že husi nechajú naverímboha v tom potoku a vrátia sa po ne až ráno, nech sa deje čokoľvek. Či ich roztrhá divá zver, či ich voda odnesie, radšej neriskovali svoj život. Domov išli stredom cesty, báli sa ísť blízko pri potoku a celou cestou sa modlili ruženec. Prišli do chalupy, obriadili statok, kravy, svine aj ovce a pošli spať. Ale spania nemali, stále mysleli na tie husi a na to, čo zažili.

Hneď ráno sa vybrali po husi. Našli ich presne na tom istom mieste, kde ich nechali. Boli všetky, ani jedno nezobrala prudká voda, ani žiadna zver im neublížila. Keď ich dohnali domov, porozprávali susede, čo sa im prihodilo. Suseda vedela

pomáhať od čarov a hneď vedela, čo treba urobiť. Poradila babke, aby to plačúce dieťa pokrstila, lebo pravdepodobne nebolo pokrstené. Potom dieťa prestane plakať a strašiť ľudí svojím plačom. Kázala zobrať so sebou trikrát posvätený ruženec, trojkráľovú kriedu a svätenú vodu. A presne o polnoci na Anjel pána treba ísť s tým ružencom k tomu plačúcemu decku, ale musí ísť sama. Babka sa veru bála, ale nakoniec sa odvážila, vzala si trojkráľovú kriedu, svätenú vodu, ten ruženec a išla k tomu potoku. Bola polnoc, dieťa zasa sedelo na tom istom kameni a hlasno nariekalo. Babka si zastala na mostíku, opísala okolo seba kruh trojkráľovou kriedou, aby k nej zlé sily nemali prístup a potom volala na dieťa: - Ja ťa krstím, v mene Otca i Syna i Ducha svätého. Ak si chlapec, dávam ti meno Adam. Ale nič sa nedialo, dieťa plakalo ďalej. Babka pokračovala: - Ak si dievča, dám ti meno Eva a krstím ťa v mene Otca i Syna i Ducha svätého. A pokropila to dieťa svätenou vodou. Vtedy dieťa akoby čľuplo do vody a všetko naokolo stíchlo. Keď babka všetko vykonala, ledva živá od strachu došla domov.

Od tých čias nikto nevidel ani nepočul to dieťa plakať. I vravia, že to bol utopenec.

*Komentár: **Motív utopenca** sa v oravských povestiach vyskytoval dosť často. Veľa dedín sa nachádzalo vedľa riek – Polhoranky, Bielej a Čiernej Oravy a Oravy. Pokojné toky sa počas veľkých dažďov menili na dravé rieky. Aj v čase, keď sa spúšťali tajchy spod Babej hory, Pilska a Minčola, náhle prívaly vody spôsobovali škody na poliach a na životoch ľudí. Spod Babej hory sa spúšťali plte, vo vodách Oravy neraz zanechali svoj život pltníci. Toto všetko našlo svoj odraz v ľudových povestiach.*

Topielec

Opowiem wam o tym, jak moja babka z dziadkiem kupili na Orawie dwadzieścia gęsi.

Kupili dwadzieścia podrośniętych gąsiąt i pieszo je gnali z Półgóry do Korbielowa. Babka szła z przodu przed gąsiętami, trzymała w ręce kawałek chleba, czasami z niego troszkę pokruszyła i wołała na nie:

- Taś, taś, taś… - jak woła się na gąski.

Dziadek szedł z tyłu za nią i za gąsiętami, pilnując, by trzymały się razem i nie rozchodziły po polach. Kiedy przyszli na granicę i weszli już do Korbielowa, poczuli się jak w domu. Było pod wieczór, zbliżał się czas wieczornej modlitwy - Anioł Pański. Pomodlili się, chwilę odpoczęli i szli dalej drogą ku dolinie. Kiedy weszli na mostek nad potokiem, płynęła właśnie wielka woda – było po deszczu. Babka zatrzymała się, bo usłyszała płaczące dziecko, które siedziało na dużym kamieniu w wodzie. Niedaleko żałośnie płaczącego dziecka stała kobieta w odziewaczce w kratę zakrywając nią sobie też twarz, w ręce miała gałązkę, którą z góry na dół rozgarniała wodę. Babka była rozmowna, więc zaraz zagadała do tej kobiety:

- Babuleńko, cóż robicie w tej wodzie?

Baba jej odpowiedziała tak, że babka nic nie zrozumiała:

- …W żywej wodzie, wiecznie w tej odziewaczce.

Nagle wszystkie gęsi – hop! – pofrunęły do wody. Babka chciała je z stamtąd wygnać, ale przyszedł dziadek i powiedział:

- A ty z kim rozmawiasz, z jakimiś straszydłami?

Bo dziadek nie widział nic z tego, co widziała babka. Nagle babce sprzed oczu zniknęły i baba w odziewaczce i to płaczące dziecko. Babka opowiedziała dziadkowi, co widziała, a ten nie wiedział czy śmiać się, czy uwierzyć żonie. W tamtych czasach jednak ludzie wierzyli w takie rzeczy, więc on też uwierzył w to, co mówiła.

Było późno, zaczęło się ściemniać, dziadek powiedział, że zostawią gęsi w tym potoku na łaskę Pana Boga i wrócą po nie dopiero rano, niech się dzieje co chce. Od tego czy je pożrą dzikie zwierzęta, czy je woda uniesie, ważniejsze jest własne życie. Do domu szli środkiem drogi, bali się iść blisko potoku i całą drogę odmawiali różaniec. Przyszli do chałupy, obrządzili gospodarstwo, krowy, świnie, owce i poszli spać. Nie mogli jednak zasnąć, wciąż myśleli o gęsiach i o tym, co się im przydarzyło.

Zaraz rano wybrali się po gęsi. Znaleźli je dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zostawili. Były wszystkie, ani jednej nie porwała wartka woda, żadne zwierzę nie zrobiło im krzywdy. Kiedy zagnali je do domu, opowiedzieli sąsiadce, co się im przytrafiło. Sąsiadka umiała odżegnywać czary i wiedziała, co trzeba zrobić. Poradziła babce, żeby to płaczące dziecko ochrzciła, bo prawdopodobnie było nieochrzczone. Potem dziecko przestanie płakać i straszyć ludzi swoim płaczem. Kazała wziąć ze sobą trzy razy poświęcony różaniec, poświęconą na Trzech Króli kredę i święconą wodę, i dokładnie o północy podejść z tym różańcem do płaczącego dziecka. Musiała jednak iść sama. Babka oczywiście się bała, ale w końcu się odważyła. Wzięła poświęconą na Trzech Króli kredę, święconą wodę i różaniec

i poszła nad potok. Była północ, dziecko znowu siedziało na tym samym kamieniu i głośno zawodziło. Babka stanęła na mostku, narysowała wokół siebie koło poświęconą na Trzech Króli kredą, żeby złe moce nie miały do niej dostępu, a potem zawołała do dziecka: - Ja ciebie chrzczę, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Jeśli jesteś chłopcem daję ci na imię Adam. Nic się jednak nie działo, dziecko płakało dalej. Babka ciągnęła dalej: - Jeśli jesteś dziewczynką daję ci na imię Ewa i chrzczę cię w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Potem pokropiła dziecko święconą wodą. Wtedy dziecko jakby zapadło się w wodę i wszystko wokół ucichło, a babka, ledwie żywa ze strachu wróciła do domu.

Od tego czasu nikt nie widział, ani nie słyszał płaczącego dziecka. Mawiają, że to był topielec.

odziewaczka *- duża wełniana chusta, którą noszono na plecach i głowie, zamiast płaszcza*
Motyw topielca *dość często pojawiał się w orawskich podaniach. Wiele wsi było położonych nad rzekami: Półgórzanką , Biała i Czarną Orawą. W czasie ulewnych deszczy zmieniały się one w rwący żywioł. Również wtedy, gdy spuszczano wodę jazy pod Babią Górą, Piskiem i Muńcołem nagłe przybory wody powodowały szkody na polach, a czasem też zagrażały życiu ludzi. Spod Babiej Góry spławiano tratwy, a flisacy nieraz tracili życie w nurtach Orawy. Wszystko to znajdowało swoje odbicie w podaniach ludowych.*

Horskí junáci

Od tých čias prešlo už dobrých tristo rokov, ba aj viac. Na tieto staré časy sa už takmer zabudlo. Iba najstarší kmeťovia ešte občas spomínajú na to, čo sa dozvedeli od svojich pradedov. Že kedysi dávno obyvateľov dedín v okolí Babej hory strážili skupiny mládencov, ktorí sa ničoho a nikoho nebáli: ani divej zveri, ani čarov, ani zbojníkov, ktorí znepokojovali pokojných obyvateľov dedín na hraniciach. Na ich ochranu tu ešte kráľ Matej ustanovil svojich rodákov Valachov, aby verne chránili hranice jeho kráľovstva. Nemuseli platiť dane ani robotovať na panskom, boli slobodní, ale ich povinnosťou bolo so zbraňou v ruke ochraňovať hranice kráľovstva a kupcov, ktorí cez Polhoru prevážali starodávnou kupeckou cestou rôzny drahý tovar. Samé drahé a vzácne veci - soľ, kožušiny, jantár, olovo, meď a iné tovary. Táto cesta spájala dve kráľovstvá a keď sa na mieste Polhory usadili prví obyvatelia, nazvali ju cisárskou cestou - Cisárkou.

Valaskí mladíci nariadenie kráľa Mateja spočiatku verne dodržiavali, vždy chodili ozbrojení, pomáhali mu nielen chrániť hranice, ale aj bojovať v iných krajoch, kde kráľ viedol vojny. Či to bolo na juhu proti Turkom, či proti českým bratríkom, ktorí rabovali a lúpili hlavne na Slovensku. So svojím kráľom bojovali na západe na Morave, alebo na severe v Sliezsku, či v Lužici, ktoré si kráľ postupne podmaňoval. A všade, kde si kráľ Matej získaval nové územia, na ochranu nových hraníc ustanovil zasa len svojich Valachov. Im veril najviac zo všetkých, veď tak sa vravelo, že on sám pochádzal z valaského rodu. Narodil sa v Sedmohradsku, ktoré bolo kolískou Valachov, preto bol medzi svojimi krajanmi taký obľúbený.

Cesta cez husté pralesy pod Babou horou bola nebezpečná. Tam, kde boli peniaze a vzácne veci, tam vždy boli aj ľudia, ktorí chceli ľahko prísť k bohatstvu. Na kupcov tu v pralesoch okolo Babej hory odjakživa striehli zbojníci, preto si v tunajších dedinách na svoju ochranu a na ochranu prevážaného tovaru najímali smelých valaských mládencov, ktorí dobre poznali tunajšie cesty a ozbrojení previedli ich povozy zradnými miestami. Pre svoje služby boli medzi kupcami obľúbení a v dedinách medzi svojimi požívali úctu. Ľudia si ich vážili pre ich odvahu a preto, že keď bolo treba, vždy boli ochotní pomáhať. Nazývali ich Horskými junákmi. Neraz pri ochrane kupcov prišli o zdravie, ba aj o život. Odmenou im bolo to, že boli slobodní, neboli pripútaní k zemi ako sedliaci.

Keď sa kráľ Matej uložil na večný odpočinok k svojim predkom, Valasi sa obracali so žiadosťami na jeho nástupcov, uhorských kráľov. Aj oni ocenili odvahu obyvateľov na hraniciach Uhorska a potvrdzovali výsady, ktoré Valasi dostali od kráľa Mateja.

Najviac sa vraj preslávili v časoch, keď neďaleko za Babou horou, v starom kráľovskom meste Krakove harušili vojaci švédskeho kráľa Karola. Zrazu obyvatelia dedín popri Cisárke zbadali, že časy sa menia. Horskí junáci mali menej práce, pretože kupcov ubudlo. Z kráľovskej cesty mizli kupecké vozy naložené tovarom a čoraz častejšie sa po nej preháňali parádne koče, páni na koňoch a panské záprahy od výmyslu sveta. Zo severu utekalo čoraz viac poľských pánov a v odľahlých oravských dedinách hľadali úkryty pre svoje poklady. Prinášali správy o vojne, o tom, že do ich krajiny vpadli Švédi a bleskovo obsadzujú mestá na severe: Poznaň, Varšavu, ba už sa blížia aj ku kráľovskému mestu Krakovu.

Ľudia v dedinách pod Babou horou sa báli vojen. Ešte nezabudli, ako ich dediny napadli a do tla vypálili Bočkajovi hajdúsi tak, že niektoré sa museli vybudovať úplne nanovo. Osobitne si túto dobu zapamätali Polhorčania na hraniciach Uhorska. Poľským pánom ľudia neverili, tak ako neverili žiadnym pánom, ale poľutovali utečencov, prijali ich majetok, aby ho ukryli vo svojich skrýšach a sľúbili, že keď nebezpečenstvo pominie a Poliaci sa budú vracať domov, ich majetok im vydajú. Ba chudobnejších utečencov pred vojnou prichýlili aj vo svojich dedinách, bohatší utekali do miest, do parádnejších domov, ako mali chudobní Oravci.

Švédske vojsko zakrátko obsadilo kráľovské mesto Krakov a žiadalo poľské mestá, aby mu odvádzali žold. Neposlušným mestám Švédi posielali listy s opálenými rohmi, hrozili im vypálením. Keď takýto list dostalo aj neďaleké mesto Živiec, živiecky dekan začal organizovať jeho obranu. Hovorí sa, že práve on hľadal ochranu na všetkých stranách a na obranu Živca najal aj Horských junákov z Oravy, ktorých dobre poznal, keď sprevádzali kupcov horami až do Živca. Kapitánom Horských junákov bol šoltýsky syn Matej Klinovský z Klina. Tomu dekan sľúbil odmenu päťdesiat zlatých a členom jeho družiny po dvanásť zlatých. To bolo v tom čase veľké bohatstvo.

Ako sa Horskí junáci zúčastnili na obrane Živca, nikto nevie. Ale dekan, obranca Živca si za svoje počínanie pri obrane mesta zaslúžil od svojho kráľa patričnú odmenu - bol povýšený do šľachtického stavu. Z Horských junákov sa však v čase

švédskej vojny stali lupiči a po Orave sa rýchlo roznieslo, že dokonca napadli aj poľského kráľa na úteku. Rozhodli sa sľúbenú odmenu získať násilím a začali pátrať po cennostiach Poliakov, ukrytých na Orave a násilím ich vymáhali od ľudí, ktorí ich ukrývali. Sliedili na cestách na bohatých utečencov, ktorých okrádali, ba stalo sa, že niektorých aj zabili. Nakoniec začali okrádať aj ľudí na jarmokoch, ktoré sa konali po nedeliach pri kostoloch. Ľudia sa ich báli, vedeli, že ich vodca Matej Klinovský mal syna, ktorý bol panským hajdúchom. Ba šepkalo sa aj o tom, že Matej sa so svojím lupom delil s panskými úradníkmi. Z niekdajších obdivovaných hrdinov Horských junákov sa v krátkom čase stali obávaní lupiči, pred ktorými sa triasla celá horná Orava. Už ich nikto nevolal junákmi, stali sa Matejovou bandou, stratili svoje dobré meno a ostali len „bandíkmi".

Keď v Rabčiciach vznikla katolícka fara a na Kvetnú nedeľu Matej Klinovský so svojou bandou napadli a zbili rabčického farára, prišla na Oravu panská komisia. Začalo sa veľké vyšetrovanie, ktoré ukončilo vyčíňanie a Horských junákov celkom pripravilo o ich predošlú slávu a úctu. Pred vyšetrovacou komisiou vypovedali Oravci a sťažovali sa na ich výčiny, lúpeže a tyranizovanie. Žalovali na Mateja Klinovského a na jeho dvanástich spoločníkov. Horskí junáci prišli o svoju slávu a po čase sa na nich celkom zabudlo. Ostali len spomienky na bandu lúpežných zbojníkov a opilcov.

Komentár: ***švédska vojna*** *– v roku 1655 napadol švédsky kráľ Karol Gustáv Poľsko. V tom čase v Poľsku vládol kráľ Ján Kazimír*

Górscy Junacy

Od tego czasu minęło już z trzysta lat albo i więcej. O tych starych dziejach już prawie zapomniano. Tylko najstarsi kmiecie jeszcze niekiedy wspominają to, czego dowiedzieli się od swoich pradziadków. Podobno kiedyś dawno, dawno temu mieszkańców wiosek pod Babią Górą strzegły grupy młodzieńców, którzy niczego i nikogo się nie bali - ani dzikich zwierząt, ani zbójników, którzy napadali na spokojną ludność przygranicznych wiosek. Do ich obrony król Maciej wyznaczył swoich rodaków Wołochów, którzy mieli wiernie strzec granic jego królestwa. Nie musieli płacić podatków, ani odrabiać pańszczyzny, byli wolni, ale mieli obowiązek z bronią w ręku bronić granic królestwa i kupców, którzy starym kupieckim traktem przewozili przez Półgórę różne drogie i cenne towary: sól, futra, bursztyn, ołów, miedź i inne rzeczy. Droga ta łączyła dwa królestwa i gdy na miejscu, gdzie jest Półgóra, osiedlili się pierwsi mieszkańcy nazwali ją cesarską drogą, czyli Cesarką.

Wołoscy młodzieńcy na początku wiernie wypełniali rozkaz króla Macieja, zawsze chodzili uzbrojeni i nie tylko pomagali strzec granicy, ale również walczyli w innych krajach, gdy król prowadził wojny. Czy to na południu przeciwko Turkom, czy przeciwko braciom czeskim, którzy łupili i rabowali głównie na Śląsku. Walczyli wraz ze swoim królem na zachodzie - na Morawach, na północy - na Śląsku i na Łużycach, które król stopniowo sobie podporządkowywał. Wszędzie, gdzie król

Maciej zdobywał nowe ziemie, do ochrony nowych granic znowu wyznaczał swoich Wołochów. Im ufał najbardziej ze wszystkich, mówiono przecież, że sam pochodził z wołoskiego rodu. Urodził się w Siedmiogrodzie, który był kolebką Wołochów, dlatego jego rodacy tak go lubili.
Droga przez gęsty las pod Babią Górą była niebezpieczna. Tam, gdzie były pieniądze i cenne rzeczy, tam zawsze pojawiali się ludzie, którzy chcieli się łatwo wzbogacić. W lasach koło Babiej Góry na kupców od zawsze czyhali zbójnicy, dlatego ci najmowali w tutejszych wioskach do ochrony siebie i swoich towarów śmiałych wołoskich młodzieńców, którzy dobrze znali tamte drogi i uzbrojeni przeprowadzali ich wozy przez zdradliwe miejsca. Swoją służbą zaskarbili sobie uznanie kupców i szacunek wśród mieszkańców wsi. Ludzie cenili ich za odwagę i za to, że zawsze byli chętni do pomocy. Nazywano ich Górskimi Junakami. Nieraz, chroniąc kupców, tracili zdrowie, a nawet życie. W nagrodę mieli wolność, nie byli przywiązani do ziemi, jak chłopi.

Kiedy król Maciej udał się na wieczny odpoczynek i dołączył do swoich przodków, Wołosi zwracali się z prośbami do jego następców, królów węgierskich, by zachowali ich prawa. Ci również cenili odwagę mieszkańców kresów swojego królestwa i potwierdzali przywileje, które nadał Wołochom król Maciej.
Junacy najbardziej chyba wsławili się w czasach, gdy niedaleko za Babią Górą, żołnierze szwedzkiego króla Karola łupili stare królewskie miasto Kraków. Wtedy mieszkańcy wsi przy Cesarce zorientowali się, że czasy się zmieniają. Górscy Junacy mieli mniej pracy, bo ubyło kupców. Z królewskiego szlaku zniknęły kupieckie wozy załadowane towarami, a coraz częściej gnały nią paradne powozy, panowie na koniach i pańskie zaprzęgi, jakich świat nie widział. Z północy uciekało coraz więcej polskich panów, którzy w odległych orawskich wioskach szukali kryjówek dla swoich skarbów. Przywozili wiadomości o wojnie, o tym, że na ich kraj napadli Szwedzi i błyskawicznie zdobywają miasta na północy: Poznań, Warszawę, a nawet zbliżają się już do królewskiego miasta Krakowa.

Ludzie w wioskach pod Babią Górą bali się wojen. Jeszcze nie zapomnieli, jak hajducy Bocskaya napadli na ich wioski i do cna je spalili. Tak, że niektóre trzeba było budować zupełnie od nowa. Najlepiej te czasy pamiętali mieszkańcy Półgóry na węgierskich kresach. Polskim panom ludzie nie ufali, bo żadnym panom nie ufali, ale żałowali uciekających, przyjmowali ich majątek, żeby go schować w swoich skrytkach i obiecywali, że gdy niebezpieczeństwo minie i Polacy będą wracać do swoich domów oddadzą im majątek. Biedniejszym uciekinierom dawali nawet schronienie w swoich wioskach, bogatsi uciekali do miast, do domów paradniejszych, niż mieli biedacy z Orawy.

Szwedzkie wojsko wkrótce zdobyło królewskie miasto Kraków i zażądało, by polskie miasta płaciły mu żołd. Nieposłusznym miastom Szwedzi posyłali listy z opalonymi rogami, czyli grozili spaleniem. Kiedy taki list dostał pobliski Żywiec, tamtejszy dziekan zaczął organizować obronę. Mówi się, że to właśnie on szukał ochrony i obrony gdzie tylko się dało i najął Górskich Junaków z Orawy, których dobrze znał, bo przeprowadzali kupców przez góry aż do Żywca. Kapitanem Górskich Junaków był syn sołtysa Maciej Klinowski z Klina. Dziekan obiecał mu,

jako zapłatę, pięćdziesiąt złotych, a członkom jego drużyny po dwanaście złotych. Wtedy to było wielkie bogactwo.

Jak spisywali się Górscy Junacy podczas obrony miasta i co tam robili, tego nikt nie wie, ale dziekana – obrońcę Żywca król odpowiednio wynagrodził za jego zasługi nadając mu szlachectwo. Z Górskich Junaków wojna zrobiła rabusiów i szybko rozniosło się po Orawie, że nawet napadli na polskiego króla podczas jego ucieczki. Obiecywali nagrodę lub siłą chcieli zdobyć kosztowności Polaków, ukryte na Orawie i gwałtem domagali się, by ludzie, którzy je schowali, wydali je. Śledzili na drogach bogatych uciekinierów, których okradali, a czasami niektórych zabijali. W końcu zaczęli grabić ludzi na jarmarkach, które odbywały się w niedziele przy kościołach. Ludzie się ich bali. Wiedzieli, że ich herszt, Maciej Klinowski, miał syna, który był pańskim hajdukiem. Ba, szeptano nawet o tym, że Maciej dzielił się swoimi łupami z pańskimi urzędnikami. Z niegdyś podziwianych bohaterów, Górscy Junacy w krótkim czasie stali się groźnymi rabusiami, przed którymi drżała cała Górna Orawa. Nikt ich już nie nazywał Junakami, stali się bandą Macieja, stracili swoje dobre imię i zostali zwykłymi bandziorami.

Gdy zbudowano w Rabczycach katolicką plebanię, a Maciej Klinowski w Niedzielę Palmową napadł na nią ze swoją bandą i zabił tamtejszego proboszcza, przyjechała na Orawę ważna komisja. Zaczęło się wielkie śledztwo, które zakończyło wybryki Górskich Junaków i do końca ich pozbawiło sławy i szacunku, jakimi się wcześniej szczycili. Przed komisją śledczą zeznawali Orawianie, którzy skarżyli się na ich poczynania. Oskarżali Macieja Klinowskiego i jego dwunastu kompanów o grabieże i gwałty. W ten sposób Górscy Junacy stracili swą sławę, a z biegiem czasu całkiem o nich zapomniano. Zostały tylko wspomnienia o bandzie rabujących rozbójników i pijaków.

król Maciej *– Maciej Korwin, król Węgier, od 1458 r. również Chorwacji i a od 1469 r. także Czech*

bracia czescy *– odłam husytów, czyli ruchu religijnego z XV w., który miał świetnie zorganizowaną armię*

hajducy Bocskaya*– chodzi o powstanie Bocskaya w latach 1604–1606, czyli walki Węgrów z Habsburgami.*

wojna szwedzka *– w roku 1655 szwedzki król Karol Gustaw napadł na Polskę, w której wówczas rządził król Jan Kazimierz*

Keď utekajú králi

Raz nastali aj také časy, keď sa aj našej severnej Orave, aj Polhore, ušlo trochu slávy. A to nielen kráľovskej, ale aj pápežskej, ibaže v tom čase ešte nikto nemohol vedieť, aký významný človek sa cez naše dediny prepravoval v kráľovských kočoch. Do tých čias bola Orava ako sirota, takmer zabudnutý kút veľkého Uhorska.

Raz koncom septembra, bol práve sviatok svätého Michala, keď v Zubrohlave býval evanjelický odpust a okolo kostola sa konal jarmok. Ozaj, viete o tom, že kedysi aj v Polhore boli evanjelici? Tak vravia naši dedovia, že kedysi dávno až polovica ľudí v našej dedine boli evanjelici a druhá polovica katolíci. Evanjelici mali svoj kostol v Zubrohlave, to bolo vtedy, keď Zubrohlava mala ešte starý, drevený kostol, nie ten murovaný, čo stojí doteraz. Katolíci tu svojho kostola nemali, tak zas chodili do kostolov za hranice, do Korbieľova, tam svoje deti krstili, tam sa aj sobášili. Ale to vraj museli robiť tajne, lebo ak by sa prezradili, čakali ich temnice pod Oravským hradom, možno aj smrť.

A do toho evanjelického kostola v Zubrohlave chodili evanjelici zo všetkých dedín okolo dnešnej Polhoranky, ale vtedy sa ešte nevolala Polhoranka, ale Slaná rieka. Aj z Bobrova, od nás z Polhory, z Rabče, Rabčíc a potom aj zo Sihelného, ktoré bolo založené až neskôr. No a keď bol v Zubrohlave odpust na Michala, išli tam aj katolíci z Polhory, lebo vtedy tam býval jarmok. Chceli na jarmoku nakúpiť čo bolo treba do domu, alebo čo-to aj predať. Vtedy ešte po dedinách nebolo toľko obchodov ako teraz. Všetko sa kupovalo len na jarmoku a jarmoky bývali v každej dedine len na odpust, iba mestá mali právo na jarmoky raz za týždeň. Predávalo sa tu všetko, čo sa po dedinách vyrobilo. Jeden vyrábal a predával, druhý kupoval. Jedni predávali plátno, druhí hrnce, košíky, kolesá, všelijaké truhly, tretí klobásy, syry, pre deti syrové srdiečka a medovníky. Deti vždy čakali, že im rodičia z jarmoku prinesú taký medovník, čo sa volal „Sedem detí za grajciar“. Cukríkov že vtedy ešte nebolo. Jarmok to bol veľký, od kostola boli šiatre až do stredu dediny po potok. Predávali sa aj zvieratá, kravy, prasatá, bolo tu veľa kriku, ruchu.

Do tej jarmočnej trmy-vrmy zrazu zavrešťali trúby, akoby horelo. Slanickou rovňou sa blížil neobvyklý sprievod, o akom ľudia do tých čias ani nechyrovali. Dedinami prechádzal rad panských kočiarov obitých kožou, na každom koči svietil zlatý erb. Sprevádzalo ho množstvo ozbrojených jazdcov na koňoch, možno ich bolo aj zo päťdesiat, v takých oblekoch, aké nosia len na kráľovskom dvore. Dedinčania si išli oči vyočiť nad toľkou parádou. A najviac žasli nad krásne oblečenými dámami v tých kočiaroch, ktoré zasa zvedavo pozerali na davy ľudí v sedliackych oblekoch. Pred kočiarmi jazdci na koňoch rozháňali dav ľudí a trúbili, až človek išiel ohluchnúť. O takej nádhere tunajší ľudia nikdy neslýchali. Ktosi utrúsil, že je to, akoby tade prechádzal nejaký kráľ. A naozaj sa zistilo, že v ten svätomichalský jarmok tade skutočne prechádzal kráľovský sprievod. To pred vojnou utekala poľská kráľovná Ludovíka do kráľovského letného sídla v Hlohovke v Sliezsku. Poľsko napadli Švédi a obsadili všetky cesty z Krakova do Sliezska. Preto musela kráľovná so svojím veľkým sprievodom utekať z Krakova okľukou do Starej

Ľubovne a z Ružomberka starou obchodnou cestou cez Tvrdošín, Polhoru a Živiec do Sliezska, ktoré bolo vtedy panstvom Habsburgovcov za hranicou Poľska.

Po kráľovnej prechádzal dedinami cestou popri Slanej rieke ďalší veľký sprievod, vari ešte nádhernejší ako ten predošlý. To za kráľovnou utekal z Krakova sám poľský kráľ Ján Kazimír s celým kráľovským dvorom a s významnými poľskými pánmi, ktorí ešte ostali verní kráľovi. Až neskôr sa ľudia dozvedeli, že v kráľovom sprievode bol aj rímsky legát Pignatellus. Až keď zomrel rímsky pápež Innocentus XII. vyšlo najavo, že to on bol vtedy v sprievode poľského kráľa.

Od polovice októbra až takmer do Vianoc bolo na ceste z Polhory do Tvrdošína rušno. Hore-dolu chodili na koňoch poslovia, ktorí udržiavali spojenie poľského kráľa v Hlohovke s verným kastelánom hradu Stará Ľubovňa. Ján Kazimír sa nakoniec rozhodol, že neopustí svoj ľud a medzi vianočnými sviatkami a Novým rokom sa tou istou cestou cez Oravu vracal naspäť do Poľska. Potom sa po dedinách niesli tajomné chýry, že keď sa kráľ s dvoranmi vracal zo Sliezska cez Polhoru späť do Ľubovne, napadol ho Matej Klinovský so svojou bandou Horských junákov pod Babou horou a olúpil. Niektorí verili, iní nie, žeby sa hŕstka banditov odvážila napadnúť a olúpiť ozbrojený kráľovský sprievod. Ale kto dobre pozná nebezpečnú, strmú cestu úžinami pralesov Babej hory, ľahko uverí, že sa tak mohlo stať. Bola to v tých časoch jediná priechodná cesta cez husté pralesy, spájajúca dve krajiny. Ak hrozilo nebezpečenstvo, jedna alebo druhá strana cestu zarúbala stromami a nikto sa pomedzi kopce Babej hory a Piľska bez pomoci nedostal s povozmi na druhú stranu. Tak to vraj robili aj zbojníci. Zarúbali cestu stromami, aby nemohli prejsť a žiadali od kupcov: - Daj Bohu dušu a mne peniaze! V zime bola cesta ešte horšia, ak napadli veľké snehy, museli kupci čakať na jednej alebo na druhej strane aj niekoľko mesiacov, kým snehy opadnú, alebo si museli najať chlapov, ktorí odhádzali z cesty sneh, alebo prebrodili koľaje.

Nikto nevie, čo sa skutočne stalo medzi tými vianočnými sviatkami a novým rokom v pralesoch Babej hory. Či poľského kráľa naozaj olúpili, ostalo tajomstvom. Tí čo lúpili sa nepriznali, pretože by ich čakal ťažký trest, možno by za ten skutok zaplatili aj životmi. A poľský kráľ mal na krku vojnu, mal iné starosti, ako sa zaoberať zbojníkmi.

Komentár: Pre vojnu so švédskym kráľom Karolom Gustávom bolo potrebné všetky sily sústrediť na boj s nepriateľom.

Gdy uciekali królowie

Były kiedyś takie czasy, że nawet nasza północna Orawa i Półgóra miały swoją chwilę sławy i to nie tylko królewskiej, ale również papieskiej. Chociaż wtedy nikt jeszcze nie mógł wiedzieć, jakiż to znany człowiek podróżował w królewskich powozach przez nasze wsie. W tamtych czasach Orawa była jak sierota, niemal zupełnie zapomnianym zakątkiem wielkich Węgier.

Pewnego razu, pod koniec września, dokładnie na świętego Michała, w Żubrohławie odbywał się ewangelicki odpust, a koło kościoła był jarmark. Pewnie wiecie o tym, że kiedyś i w Półgórze mieszkali ewangelicy? Nasi dziadowie mówią, że dawno temu połowa ludzi w naszej wsi była ewangelikami, a druga połowa katolikami. Ewangelicy mieli swój kościół w Żubrohławie, a było to wtedy, gdy stał tam jeszcze ten stary drewniany, a nie murowany, który jest do dzisiaj. Katolicy nie mieli w okolicy swojego kościoła, więc chodzili do kościoła za granicę, do Korbielowa, tam chrzcili swoje dzieci, tam brali też śluby. Ale podobno musieli to robić po kryjomu, bo gdyby się wydało, to czekały ich ciemnice pod Zamkiem Orawskim, a może nawet śmierć.

Do kościoła w Żubrohławie chodzili ewangelicy ze wszystkich wsi nad dzisiejszą Półgórzanką, która wtedy nawet jeszcze nie nazywała się Półgórzanka, ale Słona Rzeka. Nawet z Bobrowa, od nas z Półgóry, z Rabczy, Rabczyc i z później założonego Sihelnego. Jednak, gdy w Żubrohławie był odpust na Michała, to szli tam też katolicy z Półgóry, bo wtedy był jarmark. Na jarmarku chcieli kupić wszystko, co było potrzebne do domu, albo co nieco sprzedać. Wtedy jeszcze nie było po wsiach tylu sklepów, co teraz. Wszystko kupowało się na jarmarku, a jarmarki były w każdej wsi tylko, gdy był odpust. Wyłącznie miasta mogły organizować targi co tydzień. Na jarmarkach sprzedawano wszystko, co robiono na wsiach. Jeden robił i sprzedawał, drugi kupował. Jedni sprzedawali płótno, drudzy garnki, koszyki, koła, różne skrzynie, trzeci kiełbasy, sery, dla dzieci serowe serca i pierniki. Sprzedawano też zwierzęta, krowy, prosiaki, było przy tym mnóstwo wrzawy i zamieszania. Dzieci zawsze czekały, czy rodzice przyniosą im z jarmarku piernik, który nazywał się „Siedem dzieci za grajcara". Cukierków jeszcze wtedy nie było. Był to duży jarmark, kramy ciągnęły się od kościoła aż do środka wsi, do potoku.

Nagle, w tym jarmarcznym zgiełku rozbrzmiały trąby, jakby się paliło. Od Slanicy zbliżał się dziwny orszak, o jakim ludzie dotychczas nawet nie słyszeli. Przez wieś przejeżdżał sznur pańskich powozów obitych skórą, na każdym z nich lśnił złoty herb. Towarzyszyło im wielu zbrojnych na koniach, było ich chyba z pięćdziesięciu. Wszyscy mieli takie stroje, jakie nosi się tylko na królewskim dworze. Wieśniacy wytrzeszczali oczy na te wspaniałości. Najbardziej podobały im się pięknie ubrane damy siedzące w powozach, które z ciekawością spoglądały na tłumy ludzi w wiejskich przyodziewkach. Jeźdźcy rozganiali tłum przed powozami i trąbili tak, że człowiek mógł ogłuchnąć. O takich cudach tutejsi ludzie nigdy nie słyszeli. Ktoś rzucił, że tędy przejeżdża jakiś król. I okazało się, że naprawdę w czasie jarmarku na świętego Michała przejeżdżał tędy królewski

orszak. To uciekała przed wojną polska królowa Ludwika do swojej letniej siedziby w Głogówku na Śląsku. Było to wtedy, gdy na Polskę napadli Szwedzi i zajęli wszystkie drogi z Krakowa na Śląsk. Dlatego królowa musiała uciekać ze swoim wielkim orszakiem z Krakowa na około przez Starą Lubowlę, a potem Rużomberok, starym traktem handlowym przez Twardoszyn, Półgórę i Żywiec na Śląsk, który należał wtedy do Habsburgów i był poza granicami Polski.

Po przejeździe królowej przez wioski leżące przy drodze wzdłuż Słonej Rzeki przejeżdżał kolejny wielki orszak, chyba jeszcze wspanialszy niż ten poprzedni. To w ślad za królową uciekał sam polski król Jan Kazimierz z całym dworem królewskim i tymi wielmożami, którzy jeszcze pozostali wierni królowi. Znacznie później ludzie się dowiedzieli, że w tym orszaku był także legat papieski Pignatellus. Dopiero gdy zmarł papież rzymski Innocenty VII wyszło na jaw, że to on był wtedy w orszaku polskiego króla.

Od połowy października niemal do Bożego Narodzenia panował duży ruch na drodze z Półgóry do Twardoszyna. Tam i z powrotem jeździli na koniach posłowie, którzy przekazywali wieści między polskim królem, przebywającym w Głogówku, a wiernym kasztelanem zamku w Starej Lubowli. Potem po wsiach ukradkiem krążyły słuchy, że gdy król z dworzanami wracał ze Śląska przez Półgórę z powrotem do Lublowli, to napadł go pod Babią Górą Maciej Klinowski ze swoją bandą Górskich Junaków i ograbił. Niektórzy wierzyli, inni nie, że garstka bandytów odważyła się napaść i złupić uzbrojony królewski orszak. Jednak ten, kto dobrze zna niebezpieczną, stromą drogę wiodącą przez zarośnięte puszczą wąwozy Babiej Góry z łatwością uwierzy, że mogło tak być. Była to w owych czasach jedyna przejezdna droga przez gęstą puszczę, która łączyła te dwa kraje. Jeśli groziło niebezpieczeństwo, tarasowano ją ściętymi drzewami i bez pomocy nikt nie mógł się wydostać wozami spomiędzy szczytów Pilska i Babiej Góry na drugą stronę granicy. Podobno robili tak również zbójnicy. Zawalali drogę drzewami, by nie dało się przejechać i żądali od kupców: - Daj Panu Bogu duszę, a mnie pieniądze!

W zimie, gdy spadł duży śnieg, droga była jeszcze gorsza. Kupcy musieli czekać po jednej lub po drugiej stronie gór kilka miesięcy, zanim śniegi zejdą, alebo musieli wynajmować chłopów, którzy odgarniali śnieg z drogi lub robili koleiny.

Nikt nie wie, co naprawdę stało się między tym Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem w lasach Babiej Góry. Czy polskiego króla naprawdę ograbiono, pozostało tajemnicą. Ci, co go rzekomo złupili nie przyznali się, ponieważ czekałaby ich za to ciężka kara i mogliby za ten uczynek zapłacić nawet życiem. Natomiast polski król zajęty był wojną i miał na głowie większe kłopoty, niż zajmowanie się zbójnikami.

Król Jan Kazimierz musiał koncentrować wszystkie swoje siły na wojnie z królem szwedzkim Karolem Gustawem.

Život v horách

Moja rodná dedina leží pod Piľskom, volá sa Mútne. Prešla som za svoj život veľký kus Európy, všade je krásne, ale doma je len doma. Keby domov aj mal nejakú chybičku krásy, človek si to akosi prestane všímať, keď sa vráti zo sveta. Vníma len tú svoju, dobre známu vôňu domova.

Ako sme žili? Tak, ako všetky rodiny okolo nás. Boli sme taká normálna rodina – dedko, babka, otec, mama a my siedmi súrodenci. Ja, ako najstaršia z detí, som mala tú česť, veliť celej tej perepúti súrodencov. Teda, aspoň pokiaľ chlapčiská nepodrástli. Potom to už nebolo až také jednoduché, pretože odmietali plniť moje, podľa nich nezmyselné príkazy. Občas to bolo náročné, hlavne, keď dospelí odchádzali zavčas rána na pole a ja som mala na starosti ten drobizg doma.

Napriek tomu nie každé dieťa malo také šťastie, ako my. Naša mama veľmi rada čítala, bola pravidelnou návštevníčkou knižnice a z požičaných kníh, hlavne rozprávkových, nám nahlas čítala v nedeľu popoludní alebo večer pri mihotavom svetle petrolejky. Samozrejme, nemali sme čas na rozprávky po celý rok. Ako deti sme sa najviac tešili na sychravú jeseň a treskúcu zimu, vtedy na nás mala mama najviac času, lebo nebolo treba ísť na pole. Ale každé ročné obdobie malo pre nás deti svoje čaro. I keď sme aj ako deti mali svoje povinnosti, hlavne ja, pretože som bola najstaršia. Aby sme ako viacpočetná rodina vôbec mohli vyžiť, chovali sme tri kravky, býčka, koníka, dve- tri prasiatka, ovečky, zajace, kŕdeľ husí, sliepky. Toto všetko nakŕmiť dalo veľa namáhavej práce. Okrem toho bolo dosť hladných krkov aj v dome. Tiež sme museli odovzdávať úrodu na kontigent.* Za pár drobných sme odovzdávali vajíčka, zemiaky, mlieko, seno. Bola to drina, ale nevymenila by som svoje detstvo za detstvo dnešných detí. Moje detstvo ma naučilo pokore, trpezlivosti, zodpovednosti za život svoj i za život mojich blízkych.

Posúďte, aký bol život v tej dobe z môjho detského pohľadu. Poviem pár spomienok na moje detstvo pekne po poriadku, po ročných obdobiach.

Keď slniečko začalo stúpať po oblohe vyššie a vyššie, sneh zmizol a na poliach sa objavovali prvé kopliny, bolo to znamením, že sa treba chystať na pole. Pozbierala sa hlina z prvých krtincov, bola vhodná na presádzanie izbových kvetov. Nemala som toto obdobie veľmi rada, pretože bolo plné namáhavej práce. Rodičia a starí rodičia hovorievali, že matke Zemi sa treba pokloniť, aby sa s nami podelila o svoje bohatstvo. Ale z toho celodenného „klaňania sa“ bolelo celé telo. Ináč sa nedalo. Pretože ak sa na jar nezasadilo, nezasialo, v jeseni nebola úroda. Ovos a jačmeň sa zasial, ale zemiaky bolo treba zasadiť, prekopať hrubé ílovaté brázdy, porúšať, obhrnúť a nakoniec sa vykopali zo zeme. Pri zemiakoch, ale aj pri zelenine, sme sa naozaj tej zemi mnohokrát hlboko klaňali. Naša mama pri práci, možno aj preto, aby sme zabudli na tú námahu, nezabudla na naše vzdelávanie. Zopakovali sme si celú násobilku, vybrané slová, životopisy spisovateľov, hlavné postavy románov. Ona dávala otázky a my deti sme poslušne odpovedali. Kto vedel, mal po návrate domov voľno, kto nie, musel ešte sadať ku knižkám a učiť sa, čo ako neskoro sme sa vrátili domov.

Leto už bolo veselšie. Po sviatku Petra - Pavla chlapci chodievali do lesa na huby, my dievčatá zase na čučoriedky a keď sa začali kuť kosy a polia zožltli, bol čas žatvy. Bolo treba pokosiť aj lúky, vysušiť trávu na voňavé seno, aby bolo cez zimu čím kŕmiť dobytok. Kým vyšlo slniečko, podojili sme kravky, aby bolo teplé mlieko na raňajky pred odchodom do školy. Dedko viedol kravičky na pašu, babka ostala pri sporáku a otec s mamou išli na pole.

Doba pokročila, my sme rástli a boli sme svedkami toho, ako nám do dediny zavádzali elektrinu. To bolo radosti, keď nám potom otec kúpil rádio. Ale nebolo to zadarmo. Keďže otec sa zamestnal, doma ubudol pár pracovitých rúk, ale práce neubudlo, takže jeho robota ostala na nás. No keďže sme mali rádio, tak to išlo ako po masle. Mohli sme počúvať rozprávky, hitparády, Preteky mieru- keď vyhral Ján Smolík, to bolo radosti! Mnohé deti takúto radosť nemali.

Jeseň bola časom zberu úrody. Mlátilo sa obilie, zrnom sa plnili „szombky" (sýpky), aby bolo pre hoviadka, koníka, sliepky a na múku na jačmenný chlieb. Ten piekla mama každý týždeň. Vždy sedem bochníkov, na každý deň v týždni jeden. Nám deťom najviac chutili teplé podplamenníky s troškou masla, ktoré sa na teplom bochníčku roztopilo. Mňam, ešte teraz mám tú chuť na jazyku.

Osobitnou kapitolou bolo kopanie zemiakov. Najskôr sa vybrali najväčšie na kontigent, aby v mestách mali ľudia čo jesť (to nám hovorili rodičia). Drobné sa triedili pre prasiatka, aby sme aj my mali čo jesť, keď prasiatka vyrastú, no a pohnité väčšie zemiaky sme doma pri studni umyli, okrájali od pohnitých častí a mamka nám z nich navarila halušky. No a tie zdravé čo ostali, sa uskladnili do pivnice, aby bolo čo do hrnca pre nás v zime, aj na zasadenie na jar. V pivnici nesmel chýbať dvestolitrový sud natlačenej kapusty. Zima bola dlhá a ako sme rástli, varilo sa v čoraz väčších hrncoch.

Pamätám si, ako nás naša kultúry- chtivá mama zobrala do kina. Keď už bola zavedená elektrina, pán učiteľ premietal filmy. Vtedy práve „letel" Winnetou. Lenže chyba, nemali sme peňazí na lístky. Naša mama sršala nápadmi a keďže ten film siloumocou chcela aj ona vidieť, zobrala veľký košík, naplnila ho zemiakmi a išli sme ho ponúknuť môjmu učiteľovi. Čo už mal chudák s nami robiť? Tak sme si v nedeľu posadali s mamou v staručkej budove kinosály do prvej rady, naša mama do prostriedku, my traja z jednej strany, dvaja z druhej strany, malý sedel mame na kolenách (ten najmladší ešte nebol na svete). To sa opakovalo po tri nedele. Pán učiteľ mal zemiakov na celú zimu a my sme videli Winnetua. No a keď ho v tretie nedeľné popoludnie zavraždili, tak mama ako prvá spustila hlasitý nárek, za ňou my všetci a s nami revala celá kinosála. Ešte veľa večerov sme s mamou riešili tú nespravodlivosť.

Zaujímavou prácou bolo aj pestovanie ľanu. Zem musela byť prerobená na jemnučko, pôda akoby bola zomletá. Keď ľan schádzal, aby bol kvalitný, nesmelo v ňom byť ani trocha buriny. Tak, gumáčiky dole a hajde naboso trhať burinu. Ale ten pohľad, keď ľan zakvitol na modručko, stál zato. Široko- ďaleko bolo už v lete vidieť, kde sa bude v zime priasť, kto bude mať koľko oleja k pečeným zemiakom a surovej kyslej kapuste a koľko plátna v ktorej rodine natkajú.

Bielenie plátna nám deťom dalo zabrať. Pretože som mala na starosti aj pasenie husí aj bielenie plátna, chcela som si to uľahčiť a celú husaciu rodinu

som vyhnala na trávnik, kde sa bielilo plátno, aby sa napásla. Plátno som polievala vodou zo studne a keďže som „gazdinovala“ doma iba ja a vonku zas stará hus s húsatami (ostatní boli na poli), tak som zabudla na mamine príkazy a išla som si do izby popočúvať dáku hitparádu z rádia. Lenže stará hus si pozvala svoje húsky posadať na to krásne biele plátno a keď skončila hitparáda, plátno bolo od husacincov samý „kvietok“. Po tejto príhode som veľmi - veľmi dlho nesmela počúvať hitparádu a pre výprask čo som dostala, som sa dlho nemohla ani posadiť.

Skracovanie dní a predlžovanie nocí znamenalo pre nás deti trochu menej fyzickej práce. Otec sa ale chystal na zimu na Šumavu do lesa ako drevorubač, aby doniesol domov dáku tú korunku. Prišiel domov až na Vianoce, ale zas pod stromčekom sme našli aj pomaranče, o ktorých iné deti mohli len snívať. Po Vianociach znovu odchádzal a vrátil sa až pred Veľkou nocou. Potom bola zase už robota na poli i doma. My dievčatá sme sa za ten čas starali, aby bolo napárané perie na teplučké periny. Priadol sa ľan, aby bolo hrubé plátno na plachty, jemné plátno na košele a chlapom na spodky. Spracovať a spriasť bolo treba aj vlnu, štrikovali sme svetre, ponožky, šály pre našich chlapov, aby im nebola zima, keď pracovali vonku. Dedko s chlapcami sa starali o to, aby bol dostatok hladkého a suchého dreva na peci. Odkladalo sa počas celého roka pri pílení a muselo byť bez sukov. Potom sa poštiepalo na rovnomerné „pecôlky“, zviazali sa drôtom do kruhu, odložili sa na čas, keď boli celkom vysušené. Večierkom dedko ostrým nožom lúpal z nich „šlejs“ (lúče). Večer, keď vyhaslo v peci, pec sa vyčistila, aby nevznikol oheň, na ohnisko sa položili dve- tri „šlejsy“, na to „patycki“ - drievka a hrubšie drevo, aby sa ráno nezdržovalo. A keď sme zavčas rána my deti vstali, v peci už veselo pukotal ohník, voňala melta s mliekom, každý mal pripravený krajec čierneho chleba a svoj hrnček na kávu - meltu. Dakedy by sa nám bolo žiadalo aj viac, ale keďže sme všetci prežili, tak nám to zrejme stačilo.

Teraz už mám veľa voľného času. S manželom sme vychovali štyri deti. Rozpŕchli sa po svete, manžel sa tiež pobral na druhý svet a ja mám čas na rozmýšľanie a snívanie. Snívam o tom, čo by som robila inak a rozmýšľam, či by to malo nejaký zmysel. A keďže snívanie a rozmýšľanie je zadarmo, tak spomínam na staré časy a snívam...

** **Kontigent** - povinné dodávky poľnohospodárskych produktov (zemiaky, mlieko, vajcia, ľan, hovädzie a bravčové mäso, slanina, bravčové kože) na verejné zásobovanie obyvateľstva, predpísané po II. svetovej vojne v Československu. Tieto produkty musel odovzdať každý gazda podľa výmery poľnohospodárskej pôdy*

Życie w górach

Moja rodzinna wieś leży pod Pilskiem, nazywa się Mutne. Przewędrowałam w swoim życiu spory kawał Europy, wszędzie jest pięknie, ale nie ma jak w domu. Nawet jeśli rodzinne strony mają jakąś skazę na urodzie, to człowiek przestaje ją zauważać, gdy do nich powraca. Czuje tylko ten dobrze mu znany zapach domu.

Jak żyliśmy? Tak, jak wszystkie rodziny wokół nas. Byliśmy zwykłą rodziną – dziadek, babcia, ojciec, mama i my - siedmioro rodzeństwa. Ja, jako najstarsza z dzieci, miałam ten zaszczyt, że przewodziłam całej czeredzie rodzeństwa. Przynajmniej, dopóki chłopaczyska nie podorastali. Potem to już nie było takie proste, bo nie chcieli słuchać moich niekiedy absurdalnych rozkazów. Opieka nad rodzeństwem była czasem trudna, zwłaszcza gdy dorośli wychodzili wcześnie rano w pole, a ja zostawałam z tym drobiazgiem na głowie w domu.

Mimo to nie każde dziecko miało takie szczęście, jak my. Nasza mama bardzo lubiła czytać, regularnie chodziła do biblioteki i wypożyczała książki, głównie bajki, które czytała nam na głos wieczorem przy migotliwym świetle naftowej lampy lub w niedzielę popołudniu. Oczywiście, nie było czasu na bajki przez cały rok. Jako dzieci najbardziej cieszyliśmy się na deszczową jesień i mroźną zimę, bo wtedy mama nie musiała chodzić w pole i miała dla nas najwięcej czasu. Każda pora roku miała jednak dla nas, dzieci, swój urok. Choć byliśmy mali, to mieliśmy swoje obowiązki; przede wszystkim ja, bo byłam najstarsza. Żebyśmy, jako liczna rodzina. w ogóle mogli się wyżywić hodowaliśmy krówki, byczka, konika, dwa – trzy prosiątka, owieczki, króliki, stadko gęsi, kury. Nakarmienie tego wszystkiego było ciężką pracą. Prócz tego w domu też było jeszcze sporo głodnych gąb. Musieliśmy też oddawać plony na kontyngent*. Za kilka drobniaków oddawaliśmy jajka, ziemniaki, mleko, siano. To była harówka, ale nie zamieniłabym swojego dzieciństwa na dzieciństwo dzisiejszych dzieci. Moje nauczyło mnie pokory, cierpliwości, odpowiedzialności za swoje życie i życie moich bliskich.

Zobaczcie, jak wyglądało życie w tamtych czasach. Będzie to kilka wspomnień z mojego dzieciństwa, opowiem je jak trzeba, dzieląc po kolei na pory roku.

Kiedy słonko zaczynało się wznosić coraz wyżej na niebie, znikał śnieg, a na polach zaczynały prześwitywać pierwsze skrawki ziemi, oznaczało to, że trzeba szykować się w pole. Zbierano glinę z pierwszych kretowin, bo była dobra do przesadzania doniczkowych kwiatów. Nie bardzo lubiłam tę porę roku, bo było dużo ciężkiej pracy. Rodzice i dziadkowie mawiali, że trzeba się pokłonić Matce Ziemi, by podzieliła się z nami swoim bogactwem. Tylko, że od tego całodziennego „kłaniania się" bolało całe ciało, ale inaczej się nie dało. Bo jak na wiosnę nie posadziło się, nie posiało się, to w jesieni nie było plonów. Owies i jęczmień siano, ale ziemniaki trzeba było sadzić, przekopać grube, gliniaste bruzdy, wzruszyć ziemię, okopać, aż w końcu wykopywano je z ziemi. Przy ziemniakach, ale i przy warzywach, naprawdę głęboko wiele razy kłanialiśmy się ziemi. Mama podczas pracy, może właśnie, żebyśmy nie myśleli o tym zmęczeniu, nie zapominała

o naszym wykształceniu. Powtarzaliśmy całą tabliczkę mnożenia, wyjątki ortograficzne, życiorysy pisarzy, głównych bohaterów powieści. Ona zadawała pytania, a my, dzieci, posłusznie odpowiadaliśmy. Kto wiedział, miał po powrocie do domu wolne, a kto nie znał odpowiedzi, ten musiał jeszcze siadać do książek i uczyć się, choćbyśmy nie wiem jak późno wrócili do domu.

Lato było już weselsze. Po świętych Piotrze i Pawle chłopcy chodzili do lasu na grzyby, a my - dziewczęta na jagody. Gdy pola się złociły, zaczynano kuć kosy i nadchodziły żniwa. Trzeba było też kosić łąki, wysuszyć trawę na pachnące siano, żeby było czym w zimie karmić bydło. Zanim słonko wyszło, wydoiłyśmy już krowy, żeby mieć ciepłe mleko do śniadania zanim wyszliśmy do szkoły. Dziadek prowadził krówki na pastwisko, babcia stała przy kuchni, a tata z mamą szli w pole.

Czas płynął, a my rośliśmy, widzieliśmy, jak nam do wsi podciągnięto prąd. Ileż to było radości, gdy ojciec kupił radio! Nic, niestety, nie było za darmo. Ojciec poszedł do pracy, więc w gospodarstwie ubyła para pracowitych rąk, ale nie ubyło pracy, my musieliśmy wykonać jego robotę. No, ale przecież mieliśmy radio, a przy nim robota szła jak po maśle. Mogliśmy słuchać bajek, list przebojów, relacji z Wyścigu Pokoju – jakaż to była radość, gdy wygrał Jan Smolík! Niewiele dzieci miało się tak dobrze!

Jesień była czasem zbioru plonów. Młócono zboże, zapełniano ziarnem szombky (spichlerze), żeby było dla bydlątek, konika, kur i na mąkę na jęczmienny chleb. Ten chleb mama piekła co tydzień - zawsze siedem bochenków, na każdy dzień tygodnia. Nam, dzieciom. najbardziej smakowały ciepłe podpłomyki z odrobiną masła, które się roztapiało na ciepłych plackach. Jeszcze teraz mam ten smak na języku.

Osobną historią były wykopki ziemniaków. Najpierw wybierano największe ziemniaki na kontyngent, żeby ludzie w miastach mieli co jeść (tak nam mówili rodzice). Drobne ziemniaczki odkładano dla prosiąt, żebyśmy i my mieli co jeść, kiedy one z kolei podrosną, no a nadgniłe większe ziemniaki myliśmy w domu przy studni, wykrawaliśmy zepsute części i mama robiła nam z nich kluski. Te zdrowe ziemniaki, które zostały, chowaliśmy do piwnicy, żeby było co do garnka włożyć w zimie i posadzić na wiosnę. W piwnicy nie mogło zabraknąć dwustulitrowej beczki kiszonej kapusty. Zima była długa, a w miarę jak rośliśmy, trzeba było gotować w coraz większych garnkach.

Pamiętam, jak nasza spragniona kultury mama zabrała nas do kina. Kiedy był już we wsi prąd, pan nauczyciel puszczał filmy. Wtedy właśnie „leciał" Winnetou. Tylko niestety, nie mieliśmy pieniędzy na bilety. Nasza mama zawsze miała jakiś pomysł, a ponieważ ona też chciała obejrzeć ten film za wszelką cenę, wzięła duży koszyk, napełniła ziemniakami i znieśliśmy go mojemu nauczycielowi jako zapłatę. Cóż miał biedak z nami zrobić? Tak więc w niedzielę zasiedliśmy z mamą w stareńkim dziś budynku kina w pierwszym rzędzie, nasza mama w środku, troje rodzeństwa z jednej strony, dwoje z drugiej strony, a mały siedział mamie na kolanach (tego najmłodszego jeszcze nie było na świecie). Powtarzało się to przez trzy niedziele. Pan nauczyciel miał ziemniaków na całą zimę, a my widzieliśmy Winnetou. Gdy w trzecie niedzielne popołudnie zabito wodza, mama jako pierwsza

zaczęła głośno lamentować, za nią my wszyscy, a potem wrzeszczała już cała sala kinowa. Jeszcze przez wiele wieczorów przeżywaliśmy z mamą tę niesprawiedliwość.

Ciekawą pracą było uprawianie lnu. Ziemia musiała być obrobiona dokładniutko, grudy rozbite jakby były zmielone. Gdy len wschodził, to by dobrze później obrodził nie mogło w nim być żadnych chwastów. Zatem - ściągać gumiaki i hajda, na bosaka plewić! Ale widok, gdy len zakwitał na niebiesko był tego wart. Wszędzie wokoło już latem było widać, gdzie w zimie będzie się prząść, kto ile oleju będzie miał do pieczonych zimniaków i surowej kiszonej kapusty oraz ile płótna, w której rodzinie utkają.

Bielenie płótna dawało nam, dzieciom, w kość. Ponieważ moim obowiązkiem było i pasienie gęsi, i bielenie płótna, chciałam sobie pracę ułatwić i całą gęsią rodzinę, żeby się napasła, wygnałam na trawnik, gdzie bieliło się płótno. Płótno polewałam wodą ze studni, a ponieważ „gaździnowałam" w domu tylko ja, a na zewnątrz stara gęś z gąsiętami, bo reszta rodziny poszła w pole, to zapomniałam o maminych nakazach i poszłam do izby posłuchać jakiś piosenek z radia. Tylko, że stara gęś zaprosiła swoje gąski, by usiadły na tym ślicznym białym płótnie i kiedy skończyła się lista przebojów, płótno było całe w „kwiatki" z gęsich kup. Po tej przygodzie bardzo, bardzo długo nie wolno mi było słuchać listy przebojów, a w tyłek dostałam tak, że długo nie mogłam usiąść.

Skracanie się dni i wydłużanie nocy oznaczało dla nas, dzieci, trochę mniej fizycznej pracy. Ojciec postanowił pojechać na zimę na Szumawę do lasu jako drwal, żeby zarobić choć parę koron dla rodziny. Wrócił do domu dopiero na Boże Narodzenie, ale za to pod choinką znaleźliśmy pomarańcze, o których inne dzieci mogły tylko pomarzyć. Po Świętach znów wyjeżdżał i wrócił aż przed Wielkanocą. Potem znowu była robota w polu i w domu. My dziewczęta starałyśmy się zimą naskubać pierza na cieplutkie pierzyny. Przędło się len, żeby było grube płótno na płachty i delikatne na koszule lub męskie kalesony. Trzeba było też przygotować i uprząść wełnę, z ktorej robiłyśmy na drutach swetry, skarpety, szale dla naszych mężczyzn, żeby im nie było zimno, gdy pracowali pod gołym niebem. Dziadek z chłopcami dbali o to, by nam nie zabrakło gładkiego i suchego drewna na piecu. Przez cały rok podczas cięcia drewna odkładano wybrane kawałki, które nie mogły mieć sęków. Potem rąbano je i równe piecolki, obwiązywano drutem, odkładano na jakiś czas, żeby dobrze wyschły. Pod koniec dnia dziadek ostrym nożem łupał z nich szlejs (szczapki). Wieczorem, gdy wygasało w piecu, czyszczono piec, żeby nie zaprószyć ognia, w palenisku kładziono dwie, trzy szczapki, na to patycki – drewienka i grubsze drewno, żeby rano zaoszczędzić czas. Kiedy my, dzieci, wstawałyśmy wcześnie rano, w piecu już wesoło trzaskał ogień, pachniała zbożowa kawa z mlekiem, każdy miał przygotowaną kromkę czarnego chleba i swój kubek na kawę, nazywaną meltą. Niekiedy było nam tego jedzenia mało, ale skorośmy wszyscy przeżyliśmy, to znaczy, że tyle właśnie nam było trzeba.

Teraz już mam dużo wolnego czasu. Wychowaliśmy z mężem troje dzieci. Rozjechały się po świecie, mąż już odszedł na tamten świat, a ja mam czas na rozmyślania i marzenia. Marzę o tym, co bym zrobiła inaczej i rozmyślam, czy to by miało jakiś sens. A ponieważ rozmyślania i marzenia są za darmo, to wspominam stare czasy i marzę…

kontyngent *– wprowadzone po II wojnie światowej w Czechosłowacji obowiązkowe dostawy produktów rolnych (ziemniaków, mleka, jaj, lnu, wołowego i wieprzowego mięsa, słoniny, świńskiej skóry) w celu sterowanego przez państwo zaopatrywania mieszkańców. Ilość produktów, które musiał oddawać każdy gospodarz zależała od wielkości gospodarstwa*

Jan Smolík *– czeski kolarz, który wygrał Wyścig Pokoju w 1964 r., a Czechy i Słowacja były wtedy jednym państwem*

Szumawa *– pasmo górskie na granicy Czech i Niemiec, oddalone ponad 500 km od Mutnego*

korona *– nazwa pieniędzy używanych w Czechosłowacji i potem na Słowacji przed wprowadzeniem euro*

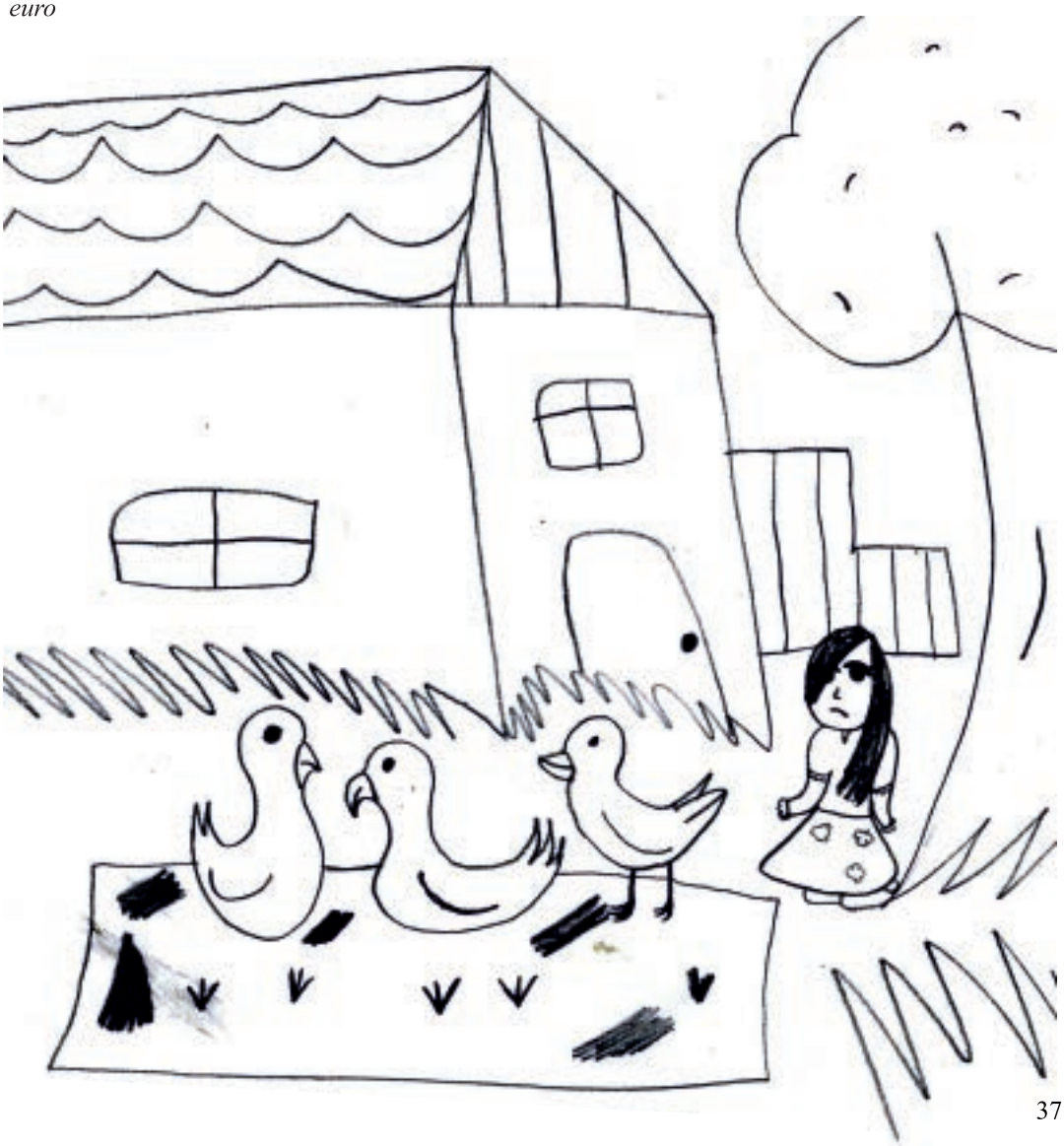

Na dedine

Na Orave a osobitne v Polhore bol život ťažký. Dedina sa ťahala z jedného konca na druhý úzkou dolinou, obkolesenou kopcami a horami. Poľa bolo málo a tak sa obrábalo všade, kde sa dalo. Polhorci skupovali polia aj vo vzdialenejších dedinách a biednu úrodu prevážali na vozoch aj cez dve – tri dediny. Chlapi zarábali na stínaní dreva v panských horách, na píle na konci dediny, na zbíjaní pltí a splťovaní dreva. Najprv spod Babej hory spúšťali drevo po vode z dvoch spustených tajchov. Jeden, starší tajch dalo postaviť Oravské panstvo na Gluchačkách, druhý novší na Hlásnej rieke. To boli vysoko pod Babou horou dve také priehrady na zastavenie vody. Keď sa spustili hrádze, voda z nich tiekla dve aj tri hodiny a splavila zrúbané stromy na pílu, kde boli postavené hrable, ktoré stromy zachytili. Na píle sa z dreva napílili dosky, trámy, nazbíjali sa plte a z píly sa s nákladom spúšťali do Slanice, pod Oravský zámok, ale v minulosti hnali plte z Polhory neraz až do Komárna. Veru trvalo aj týždeň, kým sa z pltnice chlapi vrátili domov. To si aj malú piecku brali so sebou na plť, aby si mali na čom uvariť akú - takú stravu. Medzi ľuďmi sa nazývali pltníkmi.

Oravské panstvo malo zo svojich lesov v Babej hore a z tajchov osoh, ale dediny popri Polhoranke len škodu. Keď sa tajchy spustili, voda sa zdvihla z brehov a zaplavila polia s úrodou, lúky popri rieke, brala so sebou všetko, čo jej stálo v ceste. Najviac na to doplatila Slanica, ktorej voda zaplavovala nielen polia, ale aj pivnice a domy. Na Oravské panstvo sa preto dediny často sťažovali, ale páni vždy držali spolu. Až Zubrohlavcom sa raz podarilo vybojovať si náhradu a panstvo na úhradu škôd muselo tejto dedine dať kus panského lesa v chotári.

Práca s drevom bola tvrdá drina, v zime neraz aj po pás v snehu sa ešte za tmy otec s ostatnými drevorubačmi trmácal niekoľko kilometrov do hory, celý deň sa trápili s hrubými stromiskami len s pomocou sekery či topora a ručnej píly. Domov sa vrátil podvečer ustatý, nechal vysušiť onuce a nohavice pri peci a ráno zas do hory a takto deň za dňom od pondelka do soboty. Pltenie nebolo o nič ľahšie, naopak, bolo ešte aj veľmi nebezpečné. A o nič ľahšie ani bezpečnejšie nebolo zvážanie dreva spod Babej hory krkolomnými cestami k vlaku do Jelešne, odkiaľ potom putovalo až do hút a do veľkých miest v Sliezsku. Ale ľudia si privykli na tvrdý život v horách, boli odolní, lebo život sa s nimi nemaznal.

Tvrdý život mali nielen chlapi, ale aj naše babky a mamy. Aj moja mama chodila robiť na svoje pole do susednej dediny. Bola pred pôrodom, ale musela ísť viazať obilie do snopov, lebo už bolo devätnásteho septembra a ovos ešte nebol pokosený. Otec ovos skosil a pokojne si odišiel domov, mamu nechal na poli. Vtedy chlapi ťažko pracovali a tak ani ženám nevedeli uznať. Mama sama už v bolestiach poviazala, zahrabala mrvu, potom sa taká ubolená pobrala z druhej dediny domov pešo. Cestou cez horu ešte zbadala líšku a strašne sa jej zľakla. Horko–ťažko sa ledva dovliekla domov a len čo prišla, narodil sa brat Milan.

Aj druhý raz bola pred pôrodom, ale bolo treba ešte doviezť domov seno z lúky. Mama vykladala na voz seno vidlami, otec ho na voze ukladal. Ale už išlo do tuhého. Otec videl, že je zle, kázal jej vyliezť hore na voz na to seno. Vyliezť, ale ako? S jeho pomocou a s pomocou božou sa to mame nakoniec podarilo,

ale ani tak nebolo dobre, od bolestí si nevedela nájsť miesto. Keď dostala bolesti, ťažko prežívala každý kameň na ceste, kolesá boli tvrdé a voz na kameňoch nadhadzovalo. Kričala na otca: - Nejadž, pomaly! (Nežeň, pomaly!) A keď ju bolesti trochu prešli, zas kričala na otca: - Jadž, chytro, jadž! (žeň chytro, žeň!). Len čo prišli domov, mama nás poslala po susedu, aby jej rýchlo prišla pomáhať. My deti sme sa prestrašene pýtali:

- A čo sa vám stalo?
- Povedzte jej, že som spadla z voza!

Utekali sme k susede, aby rýchlo prišla mame pomáhať, lebo spadla z voza. Ale suseda vedela, o čo ide.

- A nekázala vám mama, aby ste ostali u nás?

My sme pokrčili plecami, že nevieme, mama nám nestihla povedať, čo máme ďalej robiť, tak nás suseda vzala so sebou domov. A o chvíľu už plakal ďalší brat.

Pri všetkých prácach, domácich aj poľných pomáhala celá rodina, aj my deti, keď sme podrástli. Keď chlapi ešte za rosy skosili trávu, my sme ju rozhodili, aby na slniečku uschla na seno pre dobytok. S rodičmi sme chodili aj k zemiakom, aj k obiliu. Podnášali sme snopky, košíky, zahrabovali mrvu. Ale taká robota, čo nám bola aj ťažká, veru nikomu z nás nezaškodila.

Na wsi

Na Orawie, a szczególnie w Półgórze, życie było ciężkie. Wieś ciągnęła się z jednego końca na drugi wąską dolin, otoczoną wzgórzami i górami. Pola było mało, więc obrabiano wszystko, co się dało. Półgórzanie skupywali nawet pola w odleglejszych wioskach i mizerne plony zwozili wozami przez dwie, trzy wsie. Mężczyźni zarabiali pracując przy ścince drzew w pańskich lasach, w tartaku na końcu wsi, zbijając tratwy i spławiając drewno. Najpierw spławiali je spod Babiej Góry po wodzie spuszczanej z dwóch jazów. Jeden, starszy jaz, zbudowało państwo orawskie na Głuchaczkach, drugi nowszy był na Głośnej Rzece. Tam wysoko pod Babią Górą były dwa takie zbiorniki, które zatrzymywały wodę. Gdy otwierano śluzy woda płynęła z nich przez dwie, nawet trzy godziny i spławiała grube ścięte pnie do tartaku, przy którym były jaśle zatrzymujące kłody. W tartaku cięto te kłody na deski lub belki. Potem zbijano tratwy, które wraz z ładunkiem z tartaku spuszczano na wodę. Płynęły do Slanicy, pod Zamek Orawski, ale w przeszłości tratwy z Półgóry docierały nieraz aż do Komarna. Ponoć trwało czasem nawet tydzień, zanim płynący na nich flisacy wrócili ze spływu do domu. Zabierali, więc ze sobą na tratwę mały piecyk, żeby mieli na czym ugotować jakąkolwiek strawę.

Państwo orawskie ze swoich lasów i jazów na Babiej Górze czerpało zyski, ale wioski nad Półgórzanką miały tylko szkodę. Gdy otwierano śluzy, woda występowała z brzegów i zatapiała pola wraz z plonami, łąki nad rzeką, zabierała ze sobą wszystko, co spotkała po drodze. Najbardziej cierpiała na tym Slanica, w której woda zalewała nie tylko pola, ale również piwnice i domy. Z tego powodu wioski często składały skargi na państwo orawskie, ale panowie zawsze trzymali z panami. Dopiero mieszkańcom Żubrohławy udało się wywalczyć odszkodowanie i państwo orawskie musiało dać tej wsi kawałek lasu rosnącego na jej skraju.

Praca w lesie była bardzo ciężka. W zimie ojciec razem z innymi drwalami brnął kilka kilometrów pod górę, nieraz po pas w śniegu i wychodząc z domu jeszcze po ciemku. Tak ciężko harował cały dzień, ścinając grube drzewa, a na dodatek pracował tylko siekierą lub toporem i ręczną piłą. Do domu wracał pod wieczór skonany, wieszał onuce i spodnie przy piecu, by wyschły i rano znowu ruszał w góry, i tak dzień w dzień od poniedziałku do soboty. Flisactwo też nie było lżejszą pracą, a w dodatku było niebezpieczne. Ani trochę lżejsza, ani bezpieczniejsza nie była również zwózka drewna spod Babiej Góry karkołomnymi drogami na stację do Jeleśni, skąd potem pociągami wieziono je do hut i dużych miast na Śląsku. Ludzie jednak przywykli do twardego życia w górach, byli odporni, bo życie ich nie rozpieszczało.

Ciężkie życie mieli nie tylko mężczyźni, ale także nasze babcie i mamy. Moja mama też chodziła obrabiać swoje pole do sąsiedniej wsi. Była przed porodem, ale musiała iść wiązać zboże w snopki, bo był już dziewiętnasty września, a owies jeszcze nie był skoszony. Ojciec skosił owies i spokojnie poszedł do domu, zostawił mamę w polu. Mężczyźni wtedy ciężko pracowali i nawet nie przychodziło im do głowy, że trzeba dbać o kobiety. Mama sama, już czując bóle, powiązała snopki,

zagrabiła słomę, a potem taka obolała przyszła na piechotę do domu. Idąc przez górę między wsiami, zobaczyła lisa i bardzo się go zlękła. Resztkami sił dowlokła się do domu i ledwie przyszła urodziła Milana.

Gdy miała rodzić kolejne dziecko, trzeba było jeszcze zwieźć siano z łąki. Mama ładowała je widłami na wóz, a ojciec je na górze układał. Ale poród już się zaczynał. Ojciec widział, że jest źle, kazał mamie wyleźć na górę na wóz, na siano. Wyleźć, ale jak? Z jego - ojca - i Bożą pomocą w końcu udało się mamie wdrapać na wóz, ale nie było lepiej, z bólu nie mogła sobie znaleźć miejsca. Kiedy przychodziły bóle, cierpiała czując każdy kamień na drodze, bo koła były twarde i wóz podskakiwał na kamieniach. Krzyczała na ojca:

- Nie jedź! Powoli! (Nie gnaj tak, wolniej!) A kiedy ból trochę minął, krzyczała znowu na ojca: Jedź, szybko jedź! (Pędź szybko, pędź!). Kiedy tylko zajechali do domu, mama posłała nas po sąsiadkę, żeby szybko przyszła jej pomóc. My, dzieci, przestraszone pytałyśmy:

- A co ci się stało?
- Powiedzcie jej, że spadłam z wozu!

Pobiegłyśmy do sąsiadki, żeby szybko przyszła pomóc mamie, bo spadła z wozu, ale sąsiadka wiedziała o co chodzi.

- A nie kazała wam mama, żebyście u nas zostały?

Wzruszyliśmy ramionami, że nie wiemy, mama nam nie zdążyła powiedzieć, co mamy dalej robić, więc sąsiadka wzięła nas ze sobą do domu. A po chwili już płakał kolejny brat.

We wszystkich pracach, w domu i w polu pomagała cała rodzina, nawet my dzieci, kiedyśmy podrośli. Kiedy mężczyźni jeszcze po rosie skosili trawę, myśmy ją rozrzucali, żeby na słoneczku wyschła na siano dla bydła. Chodziliśmy z rodzicami do ziemniaków i zboża. Nosiliśmy snopki, koszyki, grabiliśmy słomę. Jednak nawet taka ciężka praca, chyba nikomu z nas nie zaszkodziła.

jaz *- zbiornik spiętrzający wodę na rzece*
śluza *– ruchoma przegroda na rzece*
jaśle *– przegroda z palii wbitych w dno rzeki, zatrzymująca spławiane kłody*
Komarno *– miasto na granicy Słowacji i Węgier, przez które płynie Dunaj, oddalone od Orawskiej Półgóry o około 300 km.*

Veterný mlyn

Už tomu bude dobrých osemdesiat rokov, čo sa v Polhore diali čudné veci. Veru, také čudné, o akých obyvatelia do tých čias nikdy ani len nepočuli. Najskôr sa v marci, v nezvyčajnom čase ešte pred Veľkou nocou, začali nad Babou horou a Piľskom objavovať prečudesné dúhy. Ale neboli to také dúhy, na ktoré boli ľudia zvyknutí, že sa pekne klenuli ponad dedinu, ponad vrchy a doliny v rôznofarebných stužkách. Tieto boli celkom iné, akoby ich vyvrhovalo samé peklo z oboch vrchov prudko nahor v podobe obrovských plameňov, ktoré takmer každú sekundu menili svoju farbu. Ľudia sa nevedeli vynadívať na to čudo, ale sa rôznofarebných ohňov aj veľmi báli, pretože si ich nijako nevedeli vysvetliť. Dokonca ani jedna z troch učiteliek na polhorskej škole nevedela, čo sú to za čudné úkazy na nebeskej oblohe. Polhorčania sa báli, že tieto farebné ohne budú predzvesťou nejakej veľkej skazy. Lebo tak bolo vždy. Všelijaké nebeské úkazy znamenali nejaké nešťastie. Raz mor, inokedy vojnu, raz sa triasla zem, alebo prišli veľké záplavy.

Keď vypukla prvá svetová vojna, všetci chlapi, mladí i starí, museli narukovať. Bolo jedno, či si bol z veľkého mesta alebo z malej dedinky pod Babou horou, v zabudnutom kúte veľkého Rakúska- Uhorska, ak si bol chlap, mal si ruky, nohy a bol si zdravý, vojaci si ťa všade našli. Tak našli aj Pavla. Spolu s ostatnými musel narukovať, obliecť si vojenský mundúr a ísť na front bojovať. Mnohí Polhorčania sa už z tejto krvavej vojny nevrátili. Iba lístočky roznášal poštár a po jeho odchode sa z domu, ktorý navštívil, vždy ozýval plač a nariekanie. Pavol mal šťastie v nešťastí. Nepadol na fronte, ale dostal sa do zajatia, hovorilo sa, že v Rusku. Dlho sa o ňom nevedelo, či padol, alebo žije v niektorom zastrčenom kúte sveta. Vojna sa skončila, chlapi sa vrátili domov, iba Pavla stále nebolo. Prešlo vari aj zo päť rokov, kým sa vrátil domov. Nerád hovoril o tom, čo zažil, ale keď trochu zmocnel a vystrábil sa z rán, pustil sa do roboty.

V tom istom roku, ako sa ukázali dúhy na oblohe, začali sa o Polhorčanovi Pavlovi šíriť reči, že sa musel zblázniť.

- Asi mu udrelo na hlavu v tej vojne, alebo v tom zajatí, šírilo sa po Polhore.

Začal v Polhore, v rodnej obci, stavať akýsi prečudesný dom. Na tú stavbu sa chodila pozerať celá dedina, lebo nikto si nevedel vysvetliť, čo za dom to Pavol buduje. Najprv postavil vysoký drevený stožiar, na ktorý namontoval obrovské krídla, namaľované rôznymi farbami. Už vtedy stavba budila pozornosť nielen medzi Polhorčanmi, ale každý, kto cez Polhoru prechádzal, pristavil sa, poobzeral, zahmkal a pýtal sa, čo to bude za čudo, až to bude hotové. Až raz sa Pavol rozhovoril. V zajatí slúžil dlhé roky v akomsi mlyne, ktorý poháňal vietor. Keď sa vrátil domov, rozhodol sa, že využije svoje skúsenosti a postaví taký veterný mlyn aj pre seba. Veril, že ten mlyn bude nielen mliať múku, ale bude mať v ňom aj šindliareň na výrobu šindľov.

Pavlov veterný mlyn mal však jednu veľkú chybu. Na jeho stavbu bolo treba veľa peňazí, ktoré Pavol nemal. A tak jeho sen o veternom mlyne sa nikdy nesplnil. Ešte nedostavaný podľahol zubu času a tak nikto nevie povedať, či by naozaj dokázal robiť prácu, o ktorej Pavol rád rozprával. Keby bol postavený, bol by to prvý veterný mlyn na celej Orave.

Wietrzny młyn

Będzie już z dobrych osiemdziesiąt lat, jak działy się w Półgórze dziwne rzeczy. Naprawdę, takie dziwne, o jakich do tego czasu mieszkańcy nigdy nawet nie słyszeli. Najpierw w marcu, w niezwykłym czasie, bo jeszcze przed Wielkanocą, zaczęły się pojawiać nad Babią Górą i Pilskiem przedziwne tęcze. Nie były to takie tęcze, do których ludzie są przyzwyczajeni, które tworzą piękne łuki z wielobarwnych wstążek nad wsiami, nad górami i dolinami. Te były całkiem inne, jakby je samo piekło wyrwało z obu gór, przypominały płomienie, które w niemal każdej sekundzie zmieniały swój kolor. Ludzie nie potrafili się temu nadziwić, ale bali się też różnobarwnych ogni, bo w żaden sposób nie umieli ich sobie wytłumaczyć. Nawet żadna z trzech pań nauczycielek w szkole w Półgórze nie wiedziała, co to za dziwne zjawiska pokazują się na niebie. Tutejsi mieszkańcy bali się, że te kolorowe ognie, to zapowiedź jakiegoś wielkiego nieszczęścia. Tak przecież było zawsze. Wszelkie znaki na niebie oznaczały coś złego. Raz zarazę, kiedy indziej wojnę, to znów kiedyś trzęsienie ziemi albo nadejście wielkich powodzi.

Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, wszyscy mężczyźni, młodzi i starzy, musieli iść walczyć. Nie miało znaczenia czy byłeś z wielkiego miasta, czy z małej wioski pod Babią Górą, w zapomnianym zakątku ogromnych Austro-Węgier. Jeśli byłeś mężczyzną, miałeś ręce i nogi, i byłeś zdrowy, żołnierze wszędzie cię znaleźli. Znaleźli tak i Pavla. Razem z innymi musiał służyć w wojsku, założyć wojskowy mundur i bić się na froncie. Wielu mieszkańców Półgóry nie wróciło z tej krwawej wojny. Listonosz tylko roznosił listy, a po jego wyjściu, w domu, do którego zaniósł list, rozlegał się płacz i lament. Pavel miał szczęście w nieszczęściu. Nie zginął na froncie, ale dostał się do niewoli. Mówiono, że był w Rosji. Długo nic o nim nie wiedziano, czy zginął, czy żyje w jakimś zapadłym kącie świata. Wojna skończyła się, mężczyźni wrócili do domów, tylko Pavla wciąż nie było. Minęło chyba z pięć lat, zanim wrócił. Niechętnie mówił o tym, co przeżył, ale kiedy trochę okrzepł i wylizał się z ran, wziął się do roboty.

W tym samym roku, gdy ukazały się tęcze na niebie, zaczęto mówić o Pavle z Półgóry, że chyba zwariował.

- Chyba mu padło na głowę na tej wojnie albo w tej niewoli - mówiono w Półgórze.

Zaczął w Półgórze, w swojej rodzinnej wsi, budować jakiś cudaczny dom. Budowę chodziła oglądać cała wieś, bo nikt nie mógł zrozumieć, co to też Pavel buduje. Najpierw postawił wysoki drewniany maszt, na którym zamontował ogromne skrzydła pomalowane na różne kolory. Już wtedy budowla ta budziła ciekawość nie tylko wśród miejscowych, ale każdy, kto przejeżdżał, zatrzymywał się, oglądał, otwierał gębę ze zdziwienia i pytał, co to będzie za cudo, gdy już będzie gotowe. Nagle Pavel się rozgadał. Opowiedział, że w niewoli służył długie lata w jakimś młynie, napędzanym wiatrem. Gdy wrócił do domu, postanowił, że wykorzysta swoje doświadczenie i zbuduje taki wiatrak dla siebie. Wierzył, że ten młyn nie tylko będzie mełł mąkę, ale będzie też miał w nim gonciarnię i będzie robił gonty.

Wiatrak Pavla miał jednak jedną dużą wadę. Na jego budowę trzeba było dużo

pieniędzy, których Pavel nie miał. I tak jego marzenie
o wietrznym młynie nigdy się nie spełniło. Niedokończony wiatrak nadgryziony zębem czasu zwalił się, więc nikt nie potrafi powiedzieć, czy naprawdę mógłby wykonywać pracę o której Pavel tak chętnie opowiadał. Gdyby został zbudowany, byłby pierwszym wietrznym młynem na całej Orawie.

Fašiangy

Len čo sa obdobie adventu skončilo vianočnými sviatkami, nastalo obdobie fašiangov. Na dedine to bol čas muzík, tancov, stretávania sa, spevov, svadieb, skrátka obdobie fašiangov. Od samých Vianoc až do pôstu, v studených, zasnežených a mrazivých dňoch chodili po domoch maškary - preoblečená mládež v maskách. Stretli sa mladí a hneď sa dohovorili:

- Poďme za maškary.
- No poďme. A za čo sa pozberáme?
- No ja za kováčku.
- Ja zas za mlynára.
- Požičaj mi kabaňu.
- Dobre. A ty mne kabát.
- Dobre. A kde sa stretneme?
- No tam a tam.

Dohodli sa a šli. Skupinky masiek nechodili z domu do domu. Išli tam, kde mali kamarátov, kde boli práve priadky či páračky alebo tam, kde si len tak posedávali pri fajočke tabaku starší susedia na večerných posiedkach.

Mládež rada chodievala preoblečená „za maškary“, lebo maskám bolo dovolené všetko, čo si inak mladí nesmeli dovoliť.

- Ani odmeny nám žiadne nikto nedával, chodili sme len pre radosť, pre zábavu alebo aj zo zvedavosti, spomínala teta Helena.

Ako masky mladí mohli vojsť do domu, aby zistili, ako žijú susedia, priatelia i nepriatelia. Ak mali podozrenie z krádeže, ako masky nakukli aj do najtajnejších kútov domu. V tom čase ľudia masky z domu nevyháňali, boli vďační za každé oživenie jednotvárneho zimného života. Neraz sa aj domáci pripojili k maskám a išli s nimi vystrájať.

Dievky na vydaj si v preoblečení overovali, ako žije mládenec, o ktorého mali záujem, alebo ktorých im radili. Ak sa niektorá dozvedela, že chodí za inou, vybrala sa s kamarátkami do domu toho dievčaťa a ak tam mládenca našla sedieť, hneď vedela na čom je, darmo jej ho potom chceli nanútiť. A keď ju potom opäť prišla žena z rodiny nahovárať aby zaňho išla, rovno jej povedala:

- Čože ma navrávate, veď on Johanu rád vidí, nie mňa, za ňou chodí!

Mládenci si zas overovali, či je dievča také, za aké sa vydáva: či je verná, či je dobrá gazdiná, či je čistotná. S partiou masiek - mládencov vošli do domu, nazreli do každého kúta, zamiešali v hrnci, čo majú doma navarené, pozreli ako majú ustlané, či majú upratané. Tak bola dedina informovaná o každej domácnosti,

o každom obyvateľovi. Darmo sa poniektorý chválil, že má to alebo ono, každý v dedine poznal pravdu.

Masky si nevyberali, do čoho sa oblečú. Obliekli sa do toho, čo im prišlo pod ruku. I do povriesla zo slamy sa zakrútili a šlo sa po dedine. Najväčšiu radosť mali, ak sa im podarilo tak sa zamaskovať, že ich nikto nespoznal. Koho spoznal čo len jeden človek, bolo po paráde, dotyčný sa už aj pratal domov zhodiť zo seba masku.

Kedysi vraj väčší chlapci chodievali v Polhore na fašiangy s turoňom. Chodievali nielen po domoch v Polhore, ale zašli aj do Sihelného. A práve tu sa raz stalo nešťastie. Ako chlapci pri turoňovi šantili, naháňali sa, jeden z nich sa napichol na vidly. Bol koniec zábave, chlapec zomrel. Potom už rodičia nedovolili svojim deťom chodiť s turoňom. A stali sa aj ďalšie nešťastia. Chlapci sa poobliekali za čertov a strašili po dedine. Jedna žena sa ich zľakla, ako pred nimi utekala, zlomila si nohu a bolo po paráde. Malý chlapec sa čertov tak zľakol, že od strachu sa odvtedy zajakával celý život.

Dnes starší ľudia takto spomínajú na časy, ktoré skončili v nenávratne:
- V zime mládež po robotách nechodila, lebo roboty nebolo, mali kedy po maškarách chodiť. Dnes sa mládež rozíde po robotách, po svete, nuž nemajú kedy vymýšľať.

Karnawał

Ledwie Boże Narodzenie zakończyło adwent, a już zaczynał się karnawał. We wsi był to czas zabaw, tańców, spotkań, śpiewów, wesel - po prostu karnawał. Od samego Bożego Narodzenia aż do postu, w zimne, śnieżne i mroźne dni, chodzili po domach przebierańcy, czyli przebrana młodzież w maskach. Młodzi spotykali się i szybko się umawiali:
- Idźmy jako przebierańcy.
- No chodźmy. A za co się poprzebieramy?
- No, ja za kowalową.
- Ja za młynarza.
- Pożycz mi gunię.
- Dobrze. A ty mi płaszcz.
- Dobrze. A gdzie się spotkamy?
- No tam, a tam.

Umawiali się i szli. Grupy przebierańców nie chodziły od domu do domu po kolei. Szli tam, gdzie mieli przyjaciół, gdzie właśnie razem przędziono lub skubano pierze albo tam, gdzie tylko tak sobie siedzieli przy fajeczce tytoniu starsi sąsiedzi wieczorową porą.

Młodzież chętnie chodziła przebrana za maszkary, bo przebierańcom było wolno wszystko to, na co kiedy indziej młodzi nie mogli sobie pozwolić.
- Nawet nikt nam za to nic nie dawał, chodziliśmy tylko dla zabawy i z ciekawości - wspomina ciotka Helena.

Chłopcy i dziewczęta w przebraniach mogli wchodzić do domów, żeby sprawdzić, jak mieszkają sąsiedzi, przyjaciele i wrogowie. Jeśli podejrzewano kogoś o kradzież to, jako przebierańcy mogli zajrzeć w każdy zakamarek domu. W tym czasie ludzie ich nie przepędzali, byli wdzięczni za każde urozmaicenie ich monotonnego zimowego życia. Nieraz domownicy też dołączali do przebierańców i szli razem z nimi dokazywać.

Poprzebierane panny na wydaniu sprawdzały, jak mieszka kawaler, który im się podobał lub z którym je swatano. Jeśli któraś dowiedziała się, że chłopak chodzi z inną, wybierała się z koleżankami do domu tej dziewczyny i jeżeli go tam znalazła, to już wiedziała co z niego za ziółko. Potem daremnie starano się ją z nim wyswatać. Gdy później znów przyszła krewna namawiać, by za niego wyszła, odpowiadała wprost:

- Po cóż mnie namawiacie, przecież jemu się podoba Joanna, a nie ja, za nią chodzi!

Kawalerowie w przebraniach natomiast sprawdzali, czy dziewczyna jest taka, jaka się wydaje: czy jest wierna, czy jest dobrą gospodynią, czy dba o porządek. Taka grupa przebierańców wchodziła do domu, zaglądała w każdy kąt, mieszała w garnkach, patrzyła, co mają w domu ugotowane, oglądała jak mają posłane, czy mają posprzątane. W ten sposób wieś wiedziała wszystko o każdym domu i o każdym mieszkańcu. Na próżno niektórzy chwalili się, że mają to czy owo, każdy we wsi znał prawdę.

Młodzież nie wybierała sobie, za kogo się przebiorą. Ubierali to, co mieli pod ręką. Okręcali się nawet powrósłami ze słomy i tak chodzili po wsi. Najwięcej uciechy mieli, gdy udało im się przebrać tak, że nikt ich nie rozpoznał. Kogo rozpoznał chociaż jeden człowiek, ten już miał po zabawie, musiał wyjść z domu i zdjąć maskę.

Podobno kiedyś więksi chłopcy chodzili w czasie karnawału po Półgórze z turoniem. Chodzili nie tylko po domach w Półgórze, ale zachodzili nawet do Sihelnego. Właśnie tam zdarzyło się kiedyś nieszczęście. Gdy chłopcy z turoniem dokazując ganiali się, wtedy jeden z nich nabił się na widły. Chłopiec zmarł i na tym skończył się zwyczaj. Potem rodzice nie pozwolili już chodzić swoim dzieciom z turoniem. Zdarzały się jednak i inne nieszczęścia. Chłopcy przebierali się za diabły i straszyli po wsi. Pewna kobieta tak się zlękła, że uciekając złamała sobie nogę. Mały chłopiec tak przeraził się diabłów, że ze strachu jąkał się potem przez całe życie.

Dzisiaj starsi ludzie tak wspominają czasy, które skończyły się bezpowrotnie:

- W zimie młodzież nie chodziła do roboty, bo roboty nie było, mieli czas, żeby chodzić jako przebierańcy. Dzisiaj młodzież rozjeżdża się za pracą po świecie, więc nie mają kiedy dokazywać.

Povery

Dnes už ťažko povedať, či všetko, čomu ľudia v minulosti verili, boli len povery, alebo či predsa len mali v niečom pravdu a stávali sa im veci, pre nás dnes už neuveriteľné.

Moja mama pochádzala zo Sihelného, do Polhory sa vydala. V Sihelnom sme preto mali pole, chodili sme tam robiť. Mama zobrala so sebou aj nás, deti a šli sme s ňou cez Chocholov, tak sa volal ten kopec. Keď sme robotu skončili, bol už podvečer. Tou istou cestou, ktorou sme prišli, sme sa vracali domov. Kým sme prišli na vrch Chocholova, už bol večer. Stretli sme tu mladú ženu, ktorá sa vracala opačným smerom ako my, z Polhory do Sihelného. A tam na tom kopci vraví mojej mame: - Teta, počuli ste, ako dolu v tom potoku plače dieťa? Už predtým tam ktosi počul plakať dieťa a od tých čias sa každý bál prejsť tým potokom potme, lebo sa bál toho detského plaču. Ťažko povedať, či to bol naozaj detský plač, alebo v tme kvílilo nejaké lesné zviera, ale ľudia verili, že ak niekto nešťastne a predčasne zišiel zo sveta, dlho nemohol nájsť vo večnosti pokoj a hľadal pre seba pomoc. Stačilo sa pomodliť za jeho dušu a nešťastníkovi sa uľavilo. Preto sme sa aj my s mamou potom celou cestou domov modlili ruženec za spásu dušičky nešťastného plačúceho dieťatka.

A dedkovi sa tiež stala čudná príhoda, často nám o nej po večeroch rozprával. Oni mali pole až tam, ako je poľana koncom Rabče, na Vahanove. Jedného roku, keď v zelený štvrtok prišiel z kostola, išiel pozrieť, či je ešte veľa snehu, kedy sa bude dať na tom poli robiť. Ako vždy, aj teraz si so sebou vzal ruženec, vždy ho nosil pri sebe. Prišiel na vrch Vahanova i vidí, celkom na vrchu horí ohník, pri ohníku sa ohrieva chlap. Dedko sa potešil, že sa pri ňom tiež zohreje i zamieril rovno ku chlapovi pri ohni. Ale keď prišiel bližšie, zľakol sa. Keď chlap naňho vytreštil oči, dedko hneď videl, čo je to za čudný chlap a ešte viac sa zľakol, keď videl, ako si nad tým ohňom suší na motúzku priviazané peniaze. Hneď vedel, že je to akýsi diabol, nie človek. Nahováral dedka, aby zahodil tú jednu vec, čo má pri sebe a on mu dá všetky peniaze, čo sa sušia nad ohňom. Ale dedko sa toho čerta tak zľakol, že ako bez duše letel domov a tri dni nemohol vypovedať jediného slova. Až o tri dni, na Veľkonočnú nedeľu ho povolilo a bol schopný povedať, čo zažil na kopci. Až vtedy prišli na to, že ho od diabla ochránil ruženec, čo mal pri sebe, inak ktovie, čo by s ním urobil, možno by ho tam aj zmárnil.

Každý človek v dedine veril, že na Jána bol deň stríg. Pred východom slnka strigy odoberali mlieko kravám. Nikto ich nesmel vidieť, lebo čary by neplatili a potom, báli sa aj pomsty gazdov, ktorým odoberali pôžitok, preto chodili, kým bola ešte tma. Nahé ženy chodili ešte za tmy po poliach a zbierali zeliny. Iné bosorky zas zbierali rosu. Chodili po poli s handričkou, zbierali ňou rosu z trávy a vraveli si:

- Beriem úžitok, ale nie všetok. Tak si pričarovali mlieko od kravy toho gazdu, po ktorého roli chodili zbierať. A gazdovia zas poznali čary proti nim. Na ochranu používali cesnak a svätenú soľ, ktorú dali statku. Aj choroby sa tak liečili. Veniec cesnaku okolo krku, ktorý vytiahol z tela všetky choroby, hlavne porobeninu. Lebo na doktorov nebolo peňazí. A v Babej hore sa na Jána otvárali jamy s pokladmi, preto

bolo dosť odvážlivcov, ktorí chodili do lesa striehnuť vyzbrojení čakanmi, lopatami, motykami, kedy sa otvoria diery plné pokladov. Nielen v Polhore, poverám o pokladoch verili obyvatelia všetkých dedín pod Babou horou a Pilskom.

Aj o takom starom dedovi vraveli, že vedel ľuďom porobiť. Jeden mu chodil kradnúť jablká. On ho vystriehol, ale zlodeja neodohnal, len si pod nos zahundral: - No, len si natrhaj, natrhaj. A keď si ten natrhal, potom mu povedal: - No a keď si nakradol, teraz si tu pekne postoj. A ten sa s tými jablkami nemohol pohnúť z miesta, až do samého večera tam stál, kým ho dedo neprepustil.

Niektorí ľudia vraveli, že tí, čo sa zaoberali obchodom, mali kupecké oči. Akoby videli viac, ako iní. Alebo napríklad máte zlého koňa, čo bije, kope, nedá sa k nemu priblížiť a príde chlap, chytí ho za uzdu a kôň s ním ide, krotký ako baránok. Alebo môžete mať akéhokoľvek zlého psa, raz príde do vášho dvora nejaký človek a pes ani nebrechne, len krúti chvostom na privítanie.

Stávali sa aj také veci, že keď ľudia prišli nečakane o život, dlho po smrti dávali o sebe vedieť, nemohli nájsť svoj pokoj. Tak sa stalo aj v Polhore. Pod cestou bývali takí Maričňoki a mali krásnu dcéru, chodil za ňou mládenec z dediny. Ale ich susedia mali syna, strašne zlého, divého, takého divocha. On hodne kupčil s Poliakmi, bol strašný bitkár, každý sa ho bál a ak ho mal stretnúť, radšej sa mu vyhol oblúkom. Vystrájal, akoby bol posadnutý diablom. Najhoršie bolo, že sa aj on zahľadel do krásnej susedovej dievky. Raz koncom apríla v noci mládenci stavali máje. Aj tej dievčine stavali máj, ktorý jej dal postaviť mládenec, pretože mal úmysel sa s ňou oženiť. Ale sused - divoch v tej trme-vrme pri stavaní mája toho mládenca zabil, hodil ho do akéhosi výmoľa na ceste, zakryl čečinou, čo naokresovali mládenci pri stavaní mája a nechal ho tam. Išiel šofér s autobusom a prešiel toho mŕtveho mládenca, za to ho odsúdili do väzenia, kde si odsedel päť alebo šesť rokov, potom prišla amnestia a nevinného šoféra prepustili. Ale otec vravieval, že mŕtvy mládenec desať rokov v tú hodinu, keď prišiel o život, volal o pomoc. Keď sa raz otec tiež bral s vozom kdesi na cesty, ja som mu takto zapriala:

- Šťastlivú cestu a veselý vývrat, namiesto návrat, chcela som byť vtipná. Lenže otec sa vrátil a pokarhal ma:

- No, ale si mi ty pekne zapriala! Ja som sa naozaj prevrátil a ako som tam ležal, počul som, ako tam ktosi volal o pomoc. A to bolo presne na tom mieste, kde prišiel o život ten zabitý mládenec. Ale kým mi ľudia prišli na pomoc, zatiaľ som sa modlil za seba, aj za toho mládenca, aby konečne našiel svoj večný pokoj. A od tých čias už nebolo počuť hlas nešťastného mŕtveho mládenca a volať o pomoc.